

Medical

HARLEQUIN® Medical®

Leah Martyn Lekarz z antypodów

NR 18 09/10 INDEKS 325260 CENA 8,49 ZŁ W TYM 0% VAT



470



Leah Martyn
Lekarz z antypodów



Leah Martyn



*Lekarz z
antypodów*

Tytuł oryginału: Outback Doctor, English Bride



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Frustracja Jake'a sięgała zenitu. Jedyne w tygodniu samolot przyleciał i odleciał, lecz drugiego lekarza na pokładzie nie było. Gdzie on jest?! Niecierpliwie przeganiał włosy i zawołał:

– Ayleen!

Ayleen Sykes, pełniąca funkcję kierowniczkę przychodni, spojrzała zbolowanym wzrokiem w sufit, wstała z fotela i ruszyła korytarzem do gabinetu Jake'a.

– To po to wydawaliście tyle szmalu na interkom? – mruknęła, stając w progu.

– Hm, zapomniałem. – Uśmiechnął się skruszony. – Zadzwoń do agencji w Sydney i dowiedz się, czy coś im wiadomo o jego ruchach. Miał być dzisiaj.

Ayleen spojrzała na zegarek.

– Zobacz, która godzina. Tam już nikogo nie ma.

Zaklął pod nosem. W porze letniej w buszu dzień trwa i trwa, dopóki nagle nie zapadną egipskie ciemności.

– Napiszę do nich mejla – rzuciła pojednawczo Ayleen. – A odpowiedź dostaniemy jutro rano.

Machnął zrezygnowany ręką.

Gdy recepcjonistka odeszła, stanął w oknie i zapatrzył się w drgający od gorąca krajobraz. W powietrzu unosił się zapach dymu, a dym to pożar buszu. Jeszcze tego brakowało. Robił co w jego mocy dla pacjentów, ale z każdym dniem stawało się to trudniejsze. Czasami nawet wątpił w stan swojego umysłu, gdy dwa lata wcześniej, po powrocie z Anglii, osiadł w Tangaratcie.

Ale gdy jego plany na przyszłość poniosły fiasko, chciał jak najszybciej rozstać się z Sydney i z rutyną pracy w klinice. Zaprzagnął wtedy zaszyć się na

provincji, tam, gdzie będzie czuł się potrzebny. Bywały jednak takie dni jak ten, kiedy wolałby być mniej potrzebny.

Nic nie układało się według planu, odkąd wysiadł z samolotu w Tangaratcie, bo już miesiąc później Tom Wilde, drugi lekarz, z powodów rodzinnych wrócił do Sydney. W ten sposób stał się jedynym lekarzem w okolicy, a do najbliższej dużej placówki służby zdrowia było ponad dwieście kilometrów.

Masował kark. Dłużej tak nie pociągnie, bo sytuacja pogarsza się z dnia na dzień. Jeśli on padnie, pacjenci zostaną bez opieki, a ich dobro jest dobrem naczelnym. Zaklął cicho. Nie będzie szukał lekarzy z krótkim kontraktem, lecz kogoś na stałe. Musi mieć współnika.

Ściągnął brwi, słysząc w recepcji jakieś głosy. Tego dnia przychodnia była zamknięta, chyba że to nagły wypadek... Ale głosy dobiegające z recepcji na to nie wskazywały. To pewnie któraś z koleżanek Ayleen zabiera ją na tenisa.

Ledwie to pomyślał, w drzwiach stanęła Ayleen.

– Doktorze, ma pan gościa. – Wycofała się pospiesznie, przeczuwając, że ta wizyta ma charakter prywatny.

– Kogo tu niesie? – zachnął się, ale rejestratorka już zniknęła, a on stanął oko w oko z młodą kobietą.

Przez ułamek sekundy nie dowierzał własnym oczom, ale nagły przypływ zmysłowej energii wyprowadził go z błędu. Zaszło mu w gardle. To ona.

Tak piękna jak w jego wspomnieniach. Wysoka, szczupła, rudowłosa. Stała teraz przed nim w zalotnej czapeczce i bladozielonych bojówkach. Serce waliło mu jak młotem.

– Maxi, co cię tu przyniosło?!

– Cześć, Jacob.

Nikt, nawet matka, nie nazywał go Jacobem, ale w jej ustach brzmiało to wręcz pięknie. Nagle znalazł się w innym czasie i w innym miejscu.

Jej oczekiwania okazały się wygórowane? Liczyła, że Jake złagodnieje przez te dwa lata, odkąd się rozstali. Jej pewność siebie lekko się zachwiała, za to na sam jego widok przeszły ją znamienny dreszczyk.

Nie jest zadowolony.

Ten Jake Haslem nie przypomina tamtego, który pewnego dnia zjawił się na oddziale ratunkowym londyńskiego szpitala w ramach półrocznego programu wymiany. Był pewny siebie, wręcz arogancki. Irytował ją, zbijał z tropu. Unikała go jak ognia, dopóki nie zmieniono rozkładu dyżurów i nie przyszło im pracować na tej samej zmianie. Wówczas zaczęła poznawać innego Jake'a.

Powiedział jej, że jest z Sydney i że jego matka jest członkiem parlamentu.

– A ojciec?

– Zostawił nas, jak miałem trzynaście lat. – Spochmurniał. – Wrócił do Stanów. Zbił majątek na kopalniach. Może nawet o nim słyszałaś. John J. Haslem.

– Nie odwiedzał cię?

– Mama się z nim rozwiodła. – Wzruszył ramionami. – Ale łaskawie podarował nam sporo kasy. Jestem bogaty. – Uśmiechnął się zniewalająco. – A ty, Maxi, jaką masz rodzinę?

– Moi rodzice prowadzą niewielką farmę w Kent.

– Masz rodzeństwo?

– Brata bliźniaka i młodszą siostrę. Spora z nas rodzinka.

Jake się skrzywił.

– Błogosławieństwo czy przekleństwo?

- Wyłącznie błogosławieństwo – odparła podejrzenie szybko.
- Wybacz to pytanie, ale nie mam pojęcia o układach w takich rodzinach.
- Zapraszam cię na naszą farmę, jak będziemy mieli razem wolny dzień.

I tak to się zaczęło. Ich romans trwał trzy upojne miesiące, a zakończył się emocjonalną katastrofą w dniu, w którym Jake odlatywał do Australii.

Teraz Maxi szacowała go wzrokiem w nadziei, że jego wygląd coś jej o nim powie. Niewiele się zmienił, ale w jego oczach dostrzegła zmęczenie.

Jak by zareagował, gdyby przez wzgląd na dawne czasy podeszła bliżej i go przytuliła? Chyba nie najlepiej, sądząc po języku ciała i nieprzyjaznym spojrzeniu.

– Jak mnie tu znalazłaś? – W końcu odzyskał głos.

– Bez trudu. Najpierw planowałam obdzwonić wszystkich Haslemów z książki telefonicznej Sydney, ale sobie przypomniałam, że twoja matka jest w parlamencie. I to był strzał w dziesiątkę.

Dlaczego tu przyjechała? Tysiące kilometrów od domu. I po co? Z tęsknoty za przeszłością? Gestem zaprosił ją, by usiadła.

– Hm, to już dwa lata... – zaczął. – Podejrzewam, że nie znalazłaś się tu dla widoków.

Co mu odpowiedzieć?

– Postanowiłam obejrzeć kawałek świata. Zapewniam cię, że nie przyjechałam tu cię obwiniać.

– Teraz to już nieistotne. O ile dobrze pamiętam, to rzuciłaś mnie na lotnisku na godzinę przed odlotem.

– Oświadczyłeś mi się dzień wcześniej – mruknęła. – Uważałeś, że bez namysłu polecę z tobą na drugi koniec świata.

– Maxi, nie mogłem czekać, aż się zdecydujesz. Skończyło mi się pozwolenie na pracę. Musiałem wyjechać.

– Mogłeś je przedłużyć. Szpital by to załatwił. Ta uwaga wprawiała go w zakłopotanie.

– W Sydney czekała na mnie wymarzona praca w świetnie wyposażonej klinice. Sądziłaś, że z niej zrezygnuję?

Pokręciła głową.

– A ty sobie wyobraziłeś, że tak po prostu dodasz mnie do swojej listy rzeczy potrzebnych! – prychnęła.

Roześmiał się sardonicznie.

– Wręcz cię błagałem, żebyś do mnie przyjechała, ale miałaś tysiąc wymówek, że nic z tego nie będzie.

– Jacob, nie przesadzaj. Prosiłam o czas, żeby się zastanowić, co czuję i czego chcę od życia. Oczekiwałeś, że rzucę rodzinę i wszystko, co znam... i kocham.

Po raz kolejny stracił pewność siebie.

– Bardziej niż mnie.

– Niech ci będzie. – Popatrzyła na swoje splecione dłonie. Taki facet jak on musiał doznać szoku, gdy się okazało, że nie może ułożyć sobie życia zgodnie z planem, że nawet za pieniądze nie dostanie tego, czego chce.

Ta niezapowiedziana wizyta wstrząsnęła nim do głębi. Stratę Maxi odebrał jako najboleśniejszą lekcję od losu. Był wtedy zły, że go nie rozumie. Teraz, gdy znowu ją zobaczył, czuł ten sam gniew. Powoli zbierał myśli. Może w dalszym ciągu mają sobie coś do powiedzenia, a może nie.

– Jak ci się podróżuje?

– W porządku. – Uśmiechnęła się nieznacznie. – Byłam już w Nowej Zelandii.

– I jak?

– Zielono, pięknie, swojsko. Bardzo mi się podobało.

– A potem przeskoczyłaś do Australii.

– Mniej więcej. – Zawahała się. – Od twojej matki dowiedziałam się, gdzie pracujesz, więc pomyślałam, że to jedyna taka okazja zobaczenia dzikiej Australii, a przy okazji mogłabym spotkać się z tobą...

Aha. Jeśli pozwoli jej zostać, jego życie stanie na głowie, a tego wolałby uniknąć.

– Maxi, nie trzeba było tu przyjeżdżać.

– Dzięki za entuzjastyczne powitanie – wykrztusiła. – Wiem od twojej matki, że jesteś potwornie obciążony pracą. Więc pomyślałam, że między innymi mogłabym ci pomóc...

– Chyba żartujesz?! Już po tygodniu zatęsknisz do hotelowej klimatyzacji oraz wygod.

– Jestem bardziej uparta, niż myślisz. Poza tym wiemy oboje, że potrafimy razem pracować.

– Maxi, posłuchaj... – Spowaźniał. – Życie tutaj różni się o lata świetlne od tego, do czego przywykłaś. I akurat teraz mamy tu piekło. Nie wytrzymasz w tych warunkach.

– W jakich, na przykład?

Nie dopuści, by Maxi tu została. Nie po tym, ile wycierpiał. Czy ona sobie wyobraża, że on ma serce z kamienia?

– Choćby z powodu takiej karnacji, która aż się prosi o raka skóry. – Powoli się rozkręcał. – Nie chcę być odpowiedzialny za taki paskudny nowotwór.

– Chybiony argument. – Jej głos jak dawniej budził w nim najskrytsze tęsknoty. – Faktyczna przyczyna raka skóry, doktorze, nie jest znana. Poza tym w odróżnieniu od pana nie biegałam po słońcu w dzieciństwie, kiedy to podobno dochodzi do uszkodzenia tkanek.

– Mieszkaliśmy pięć minut od plaży, więc wszyscy byli wystawieni na promienie słoneczne, a poza tym byłem wysmarowany kremami z filtrem.

– Tak? To czym wytłumaczysz te dwie zmiany skórne na plecach? Mogły się uzłośliwić.

– Dobrze, że mi je usunęłaś. – Lekceważąco wzruszył ramionami.

Na to wspomnienie zrobiło się jej jeszcze cieplej. Dopiero od tygodnia był na jej oddziale. Starannie go wtedy unikała, ale gdy przed zabiegiem ujrzała go półnagiego, o mało się nie złamała.

– I okazało się, że nie są złośliwe.

– Udało ci się. – Idiotyczna rozmowa. Wyciągnęła przed siebie ramiona.

– Zobacz, do tej pory moja skóra nie ucierpiała. A tutaj będę się zasłaniać.

– Nie zostaniesz tu. A w ogóle to jak się tu dostałaś? W samolocie cię nie było.

– Wynajęłam auto w Sydney.

Przejechała ponad tysiąc kilometrów najmniej uczęszczanymi drogami w Australii, by się z nim zobaczyć?

– Niemożliwe.

– Spokojnie, etapami. Bardzo mi się podobało. Patrzył na nią w zamyśleniu.

– To bardzo ryzykowne. Mogły cię napaść jakieś szumowiny.

– Ale nie napadły.

– Mogłaś złapać gumę na pustkowiu.

– Mam komórkę.

– A ja myślałem, że do tego potrzebny jest podnośnik.

– Jak zatrzymywałam się po paliwo, kazałam w warsztacie wszystko sprawdzać. Nikt mi nie odmówił.

– Jasne. – Wpatrywał się w jej wargi, wargi stworzone do pocałunków. I nagle jego sercem zawładnął instynkt, męski, a zarazem opiekuńczy. Nie ma wyboru, absolutnie żadnego. Nie wolno mu jej rozgniewać, bo inaczej odjedzie w siną dal.

– Dobra. Zostań na tydzień, do następnego samolotu.

– Żałosna propozycja. Przez tydzień nie zrobię nic pożytecznego!

Podniósł się zza biurka.

– Maxi, to wszystko, co jestem skłonny ci zaproponować. – Jak Bóg pozwoli, przez ten czas przybędzie mu oleju w głowie, by poradził sobie z tą sytuacją.

– Okej – zgodziła się, ale nie dawała za wygraną. – Wasz pub wygląda zachęcająco. Tam się zatrzymam.

– Zamieszkasz u mnie – warknął z błyskiem w oku, który zdawał się potwierdzać jej podejrzenie, że Jake nie zamierza puścić jej samopas.

Uśmiechnęła się skrycie. To może wyjść jej na dobre. Niezależnie od tego, co Jake sobie myśli, między nimi nie wszystko skończone.

– Dziękuję za zaproszenie pod twój dach – powiedziała niewinnym tonem. – Ludzie nie zaczną gadać?

– Niech gadają. W Tangaratcie jest sam środek pory suchej. Ludzie są zajęci walką o przetrwanie i o to, żeby było co postawić na stole, a nie tym, kto mieszka u lekarza.

– Tak, zauważyłam, że ziemia tu wysuszona. Bardzo jest sucho?

– Bardzo. Na każdym kroku depresja, wyczerpanie oraz stres. Do miasta trzeba wodę dowozić cysternami.

Przytaknęła, przysuwając się bliżej, jakby chciała przejąć część ciężaru, jaki dźwigał.

– Domyślałam się, że ludzie są zdesperowani.

– Zwłaszcza farmerzy. Wydają pieniądze, których nie mają, na zasiewy, które nawet nie wykiełkują. Zdarza się, że za bezcen sprzedają całe stada. Rodziny się rozstają, żeby szukać pracy, bo na miejscu jej nie ma.

– Samobójstwa?

– Dwa do tej pory. – Zwiesił głowę. – Jedno całkiem niedawno. – Nie będzie zawracał jej głowy taką ponurą rzeczywistością. Co więcej, nie chciał opowiadać, jak bardzo to przeżył i o tym, że zważył w sobie jako lekarza.

Ona jednak знаła go lepiej, niż myślał, i wyczuła, że powinien podzielić się z kimś swoimi wątpliwościami.

– Znałeś tę osobę? To twój pacjent?

– Widzę, że psychoterapia ciągle jest twoim konikiem. Zabrzmiało to jak obelga.

– Nazwijmy to przesłuchaniem.

Zbył to sformułowanie wzruszeniem ramion. Musiał jednak przyznać sam przed sobą, że dobrze byłoby pogadać o tym zwłaszcza z kimś takim jak Maxi, która go rozumie, zna ten stan, kiedy człowiek się zastanawia, czy może mógł zrobić więcej, może powinien był uważniej kogoś słuchać...

– To był przyjaciel, tutejszy hodowca bydła. Jak bywał w miasteczku, szliśmy na piwo. Wiedziałem, że obawia się o przyszłość. Bank go gnębił, a farma nie zarabiała. Na nic się zdało, że był czwartym pokoleniem na tej ziemi i że czuł się odpowiedzialny za rodzinę. Któregoś dnia wsiadł na motor i roztrzaskał się na drzewie.

– O Boże.

– Przecież mógł przyjść do mnie. Może byśmy znaleźli jakieś wyjście? Prowokowałem go w rozmowie...

– Ale nic z tego?

– Jak widzisz. – Umilkł na dłuższy czas. – Maxi, to nie jest miejsce dla ciebie.

– Wręcz przeciwnie. – Z godnością uniosła głowę. – Jestem lekarzem. Domyślam się też, że przydałaby ci się druga para rąk. Tym ludziom również. Mam prawo tu pracować. Pozwolenie załatwiłam jeszcze w Anglii. Przyjmij mnie jako pracownika i pozwól sobie pomóc.

– Nie.

Poznała go na tyle dobrze, że wiedziała, że uporem nic u niego nie wskóra. Ale znane jej były też subtelniejsze sposoby. Podeszła bliżej, by pocałować go w policzek.

– Dobrze szepnęła. – Jak chcesz...

Gdy jej włosy musnęły jego twarz, owiał go jej delikatny kwiatowy zapach. Boże, jak dobrze być znowu tak blisko niej. Przez chwilę miał wrażenie, że unosi się nad ziemią.

Odsunął się pospiesznie, po czym wziął torbę.

– Chodź, pokażę ci, gdzie mieszkasz.

Wielki dom z bali z czterech stron otaczała weranda.

– Daj, pomogę – rzucił, gdy wyjmowała z bagażnika ogromny plecak. – To cały twój dobytek?

– Spodziewałeś się siedmiu walizek?

– Chyba tak. – Uśmiechnął się krzywo. – I puchowej kołdry.

To ją rozbawiło, bo Jake bywał uszczypliwy, ale w końcu się z tym oswoiła.

– Mam wszystko, co mi potrzebne, a ten plecak ma setki kieszeni. – Pokiwała głową. – To, co najważniejsze, jest tutaj. – Przewiesiła przez ramię sporą torbę. – O, a to kto? – zawołała na widok bulteriera pędzącego od strony zabudowań.

Pies przysiadł za bramą, na powitanie tłukąc ogonem o beton. Jake otworzył bramę.

– Chalky. Wszedłem w jego posiadanie razem z tym domem. – Z psem przy nodze poprowadził ją na werandę.

– Chodzisz z nim na spacer? – zapytała, gdy we troje znaleźli się w środku.

– Oczywiście nie. Ma wielkie podwórze do dyspozycji. Skąd miałbym mieć czas na spacer?

– Myślałam... Ładny dom. – Rozejrzała się.

– Przewidziany kontraktem. Rozgość się tutaj, bo tu jest łazienka.

– Cudownie. – Zdjęła czapkę i potrząsnęła głową. – Wszystko oddam za kąpiel.

– Żadnych kąpeli. – Wszedł do pokoju i postawił jej plecak na stoliku. – Dozwolony jest trzyminutowy prysznic.

– Dobre i to.

– Nie spodoba ci się tutaj – rzekł ponuro.

– Jacob, nie decyduj za mnie, dobrze? Masz czystą pościel?

– Prześcieradła i ręczniki są w szafie w holu. Wybierz sobie, co chcesz. Szpital zatrudnia sprzątaczkę, aktualnie jest nią Marie Olsen, która tu bywa raz w tygodniu.

– Dzięki. Hm... Wspomniałeś o szpitalu. – Bardzo była go ciekawa. – Na ile łóżek?

– W tej chwili dziesięć – odparł lekko urażonym tonem, jakby to nie była jej sprawa. – Cztery przeznaczone są dla obłożnie chorych. Finansowane z innego funduszu.

– Na całym świecie jest tak samo. – Machnęła ręką. – Wszędzie lekarze są niewolnikami księgowych.

Mruknął coś pod nosem, po czym spojrział na zegarek.

– A propos szpitala, muszę zrobić szybki obchód. W oczach Maxi pojawił się błysk.

– Daj mi pięć minut. Pójdę z tobą.

Poczuł, że w tej materii z nią nie wygra, więc lepiej zrobi, jak się podda. Albo zwariuje.

– Jak chcesz. – Kręcąc głową, wyszedł z pokoju.

Obmyła twarz, a włosy upięła w schludny kok. Odnalazłam go, pomyślała, stojąc przed lustrem. Teraz muszę sprawić, żeby zechciał wrócić do tego, co było między nami. Musi go przekonać, że w Tangaratcie może być tak, jak było w Anglii. Wyszła z pokoju, zaciskając kciuki.

Nie jesteś zbyt gościnnie, wyrzucał sobie, napełniając szklanki sokiem pomarańczowym. Ona pewnie umiera z pragnienia, a ty nawet nie zaproponowałeś jej wody.

Nadal nie mógł uwierzyć w jej obecność. Mimo to już dawno zdał sobie sprawę, że to, że spotkał ją w Londynie, odmieniło jego życie. Łączyły ich wtedy nie tylko intymne chwile, ale to, jak czuł się przy niej, jak potrafiła go rozbawić... jaka była... cała Maxi. Jego Maxi?

Była. Przez jakiś czas.

Poczuł bolesny skurcz serca.

ROZDZIAŁ DRUGI

Gdy chował dzbanek z sokiem do lodówki, do kuchni weszła Maxi.

– Kogo będziemy oglądać w trakcie obchodu? – zapytała, sięgając po szklanę.

– Jednego seniora, który rano zgłosił się z objawami udaru słonecznego oraz kobietę, która do tego urodziła trzecie dziecko.

Maxi się zdziwiła.

– Przed wyjazdem przeczytałam co nieco o służbie zdrowia w australijskim buszu. Odniosłam wrażenie, że większość lekarzy odmawia przyjmowania przypadków położniczych. Z powodu odpowiedzialności karnej, jeśli coś się nie uda. Tutaj nie ma specjalisty.

– Działamy na trochę innych zasadach. – Dopił sok. – Jedną z naszych pielęgniarek, Sonia Townsend, jest położną. Jeśli ciąża nie wygląda na zagrożoną, poród odbywa się u nas. To wielki kłopot dla rodziny, jeśli matka musi czekać na rozwiązanie w Croyden, bo tam jest najbliższy szpital, dwieście kilometrów stąd.

– Czym jeszcze się zajmujesz? – zapytała. Rzucił jej zdziwione spojrzenie.

– W aspekcie medycznym? Przytaknęła bez słowa.

– Powiedzmy, że wszechstronne wykształcenie przydało mi się nie raz i nie dwa. Poza tym lekarze na prowincji są włączeni do systemu elektronicznego, dzięki czemu w razie konieczności możemy konsultować się ze specjalistami.

Powoli odstawiła szklanę.

– Zupełnie inny świat...

– Zauważyłaś to? – Roześmiał się i wstawił szklanki do zlewu. –
Chodźmy na obchód. Potem zapraszam cię do pubu na herbatę.

– Na herbatę? I kanapkę z ogórkiem?

– Raczej na stek z frytkami.

Przyjrzała mu się uważnie, zastanawiając się, czy jej szanse nieco wzrosły.

– Mam rozumieć, że zapraszasz mnie na kolację?

– Coś w tym stylu – odrzekł.

Wyszedł z kuchni, po czym ruszył do bramy. Przepuścił Maxi przodem, a potem skręcił na wybetonowany chodnik.

– Hej! – Dreptała za nim. – Nie jedziemy autem?

– Do szpitala jest kilka kroków. – Wskazał na niski murowany budynek kilkaset metrów dalej. – Dawno temu gmina kupiła działkę, na której postawiono szpital. Dom dla lekarza wybudowano później. W czasach prosperity szpital w Tangaratcie pracował pełną parą, poza tym było tu kilku lekarzy.

– I co się stało?

– To chyba вина postępu technicznego, który wymusza zmiany w zapotrzebowaniu na siłę roboczą, a potem włącza się efekt domina. Ludzie jadą tam, gdzie jest praca. Takie małe miasteczka jak to zaczynają podupadać. Ale dwa lata temu zaczęli wracać, zakładać nowe firmy, napłynęli turyści, amatorzy kamieni półszlachetnych...

– I przyszła susza. Przytaknął.

Na wyschniętym i spękany trawniku przed szpitalem jej uwagę przyciągnął krzew okryty fioletowym kwieciem.

– To jakaś bardzo wytrzymała roślina.

– Bugenwilla. Trudno jej się pozbyć. Nawet siekierą nie da rady. Uwielbia taki suchy i gorący klimat.

– Budynek szpitalny sprawia wrażenie przestronnego. – Przystanęła, by przyjrzeć się zabudowaniom. – Podobają mi się te werandy.

– W lecie dają schronienie przed upałem, a w zimie łapią poranne słońce. Pacjenci bardzo lubią tu przesiadywać.

– Chcesz powiedzieć, że w dawnych czasach architekci lepiej znali się na rzeczy?

– Zdecydowanie lepiej niż dzisiaj. A tam jest lądowisko dla sanitarki. – Poprowadził ją na plac, nad którym zwisały rękaw lotniskowy.

Powiodła spojrzeniem ku odległym wzgórzom odcinającym się od szaroniebieskiego tła.

– Jak tu cicho...

– Uhm. Ale po jakimś czasie przestaje się zauważać tę wszechogarniającą ciszę.

– O, patrz! – Nad nimi leciało hałaśliwe stado dużych ptaków. – Co to jest? Gęsi?

– Dzikie kaczki. Słodkowodne laguny wysychają, toteż całe ptactwo wodne przenosi się bliżej wybrzeża.

– Wrócą?

– Jak laguny i jeziora ponownie napełnią się wodą. Idziemy, pani doktor, pacjenci czekają. – Weszli do środka. – Zakładam, że w dalszym ciągu chcesz mi towarzyszyć.

– Ależ tak.

Loretta Champion, dyżurna pielęgniarka, wyszła im na powitanie.

– Witaj, Jake. – Przechyliła głowę. – Spodziewałam się ciebie wcześniej. Coś się stało?

– Loretto, poznaj doktor Maxi Somers...

– Nasze zastępstwo! – ucieszyła się Loretta. – Spodziewaliśmy się, że dzisiaj pani przyleci,

– Hm... – Maxi szukała słów, a w jej oczach tańczyły figlarne ogniki. – Zdaje się, że zaskoczyłam doktora Haslema. Przyjechałam samochodem.

Jake mało się nie zakrztusił. Czuł, na co się zanosi.

– Maxi zgodziła się na okres próbny.

– Wydawało mi się, że umowa miała być na trzy miesiące – zdziwiła się Loretta.

– Myślę, że znajdziemy rozwiązanie satysfakcjonujące obie strony – wtrąciła się Maxi. – Jakob jak zwykle jest bardzo ostrożny.

Loretta przyglądała im się uważnie.

– Czy ja czegoś nie zrozumiałam?

– Pracowaliśmy razem w Anglii – wyjaśniła Maxi, rzucając Jake'owi ostrzegawcze spojrzenie. – Jestem przekonana, że tu zostanę, bo już bardzo mi się tu podoba.

– Aktualnie kondycja naszego miasteczka jest nie najlepsza. – Pielęgniarka posmutniała. – Ale cieszymy się, że mamy drugiego lekarza. Jake, nie gniewaj się, ale podejrzewam, że do doktor Somers ustawi się kolejka kobiet.

– Wspaniale. – Maxi promieniała. – Jestem do dyspozycji.

Jake'a zamurowało. Przechytrzyła go! A on myślał, że ją należy chronić. Cholera! Zwrócił się do Loretty.

– Podaj mi, proszę, karty pana Evansa i pani Goode.

– Stan pana Evansa bardzo się poprawił. Od rana faszerujemy go płynami. – Podała mu karty. – Ale myślę, że należałoby zatrzymać go na noc.

Był w bardzo złym stanie, gdy go znalazła kobieta rozwożąca posiłki. Gdyby nie to...

Maxi już chciała się odezwać, ale ugryzła się w język. Miała kilka pytań oraz sugestii, ale zatrzymała je dla siebie. Domyślała się, że już i tak mocno nadużyła cierpliwości Jake'a.

– A Karryn Goode chce wyjść do domu.

– Zobaczymy. – Przeglądał wpisy do kart. Kobieta już odpoczęła po porodzie. Może pozwoli jej pojechać do domu, a może nie. – Dzięki, Loretto.

– Dokąd teraz? – zapytała Maxi, gdy skręcił w krótką odnogę korytarza.

– Do nikąd. – Odwrócił się tak nagle, że niemal przyparł ją do ściany. –

Co ty wyprawiasz?! – warknął.

– Słucham?

– Podszywasz się pod lekarza, który miał przyjechać na zastępstwo. „Bardzo mi się tu podoba”!

Naprawdę tak to odebrał? Że ona się wdzięczy?

– Tak mi się wyrwało.

– Jesteś tu od pięciu minut i już wyrobiłaś sobie opinię o tym miejscu?

Tu chodzi o realnych pacjentów i ich potrzeby!

– W pełni zdaję sobie z tego sprawę.

– To dlaczego nie sprostowałaś, jak Loretta wzięła cię za lekarza, na którego czekaliśmy?

– Jak powiedziała, że się nie zjawił, pomyślałam... dlaczego nie? Wiem, nie powinnam... Zanim stąd wyjdziemy, postaram się przed nią wytłumaczyć.

– Nic z tego – rzekł nieprzejednanym tonem. – Jeśli chcesz, żeby traktowano cię poważnie, zastanów się nad przekonującymi argumentami, żeby wyjaśnić swój nagły wyjazd z Tangaratty.

– Ale... Dobrze. Mam tu wyłącznie podawać herbatę czy będzie mi wolno rozmawiać z pacjentami?

– Przestań. – Spojrzał na nią spode łba. – Zapamiętaj sobie, na czas pobytu w Tangaratcie jesteś lekarzem wizytującym i masz obowiązki wynikające z tego tytułu.

Wzruszyło ją takie wspaniałomyślne podejście do sytuacji, która mogła stać się bardzo nieprzyjemna.

– Dziękuję – powiedziała cicho.

– Drobiazg. – Wzruszył ramionami. – Teraz chodźmy do Karryn.

– Nie chciałabym, żeby położna poczuła się dotknięta.

– Teraz jej tu nie ma. Wyjechała do dwóch ciężarnych w terenie.

– Wobec tego czy mogę zajrzeć do jej karty?

– Nie wiem, czy należy ją puścić do domu – wyznał.

– Pacjentka ma dwadzieścia dziewięć lat, tak?– zapytała, gdy w jednym z gabinetów omawiali ten przypadek. –I to jest jej trzecie dziecko. – Poród przebiegł bez komplikacji, a wszystkie badania przeprowadzone po porodzie okazały się w normie. – Dlaczego nie chcesz jej wypisać?

– Jej farma jest daleko stąd – odparł. – Karryn ma sześcioletnią córkę i czteroletniego syna. Belinda chodzi do szkoły, ale Nathan jest z matką. Nikt Karryn nie pomaga.

– Uważasz, że to dla niej za dużo?

– Wiem. Od kilku miesięcy walczą o utrzymanie farmy. Jej męża nie ma całymi dniami, bo jeździ pogłębiać studnie, więc do jej zadań należy rozrzucanie paszy dla bydła.

– Oświeć mnie. Jak mówisz o bydłe, to o ilu sztukach? Dwunastu czy pięćdziesięciu?

– Blisko czterystu.

– Uhm. – Nie okazała zdziwienia. – Jak wygląda podawanie paszy? To ciężka praca?

– Bardzo. Do tej pory Karryn wsiadała do land-rovera z przyczepą i zabierała ze sobą Nathana. Teraz będzie musiała zabrać też noworodka. Dzieci oczywiście będą poprzypinane, ale na samą myśl o tym cierpnie mi skóra.

– Rozumiem. A mnie niepokoi wysiłek, jaki trzeba w to włożyć. To wymaga dźwigania bel siana z przyczepy?

– Niezupełnie. Wrzuca się w land-roverze jedynekę i prosto ustawia koła, a potem idzie się za przyczepą i zrzuca siano.

– W tym upale to straszny wysiłek. Jej mąż nie może tego robić?

– Na pewno by to robił, gdyby nie musiał szukać nowych źródeł wody. Alternatywą jest sprzedanie bydła. Za grosze. A to by oznaczało pożegnanie z farmą.

– Nie mogą kupić wody?

– Nie, bo wtedy nie wystarczyłoby im na paszę.

– Jako lekarz troszczysz się o pacjentkę, ale jak bardzo możesz ingerować w ich życie?

– Maxi, miej do mnie trochę zaufania. Nie zamierzam ingerować. Po prostu szukam pretekstu, żeby ją tu zatrzymać na kilka dni. Przez ten czas może uda mi się coś wymyślić, żeby jej pomóc, jak wróci do domu.

Maxi już to wymyśliła.

– Macie tu fizykoterapeutę?

– Mieliśmy. Wyjechał miesiąc temu. Racja, ćwiczenia bardzo by ją wzmocniły.

– To się da załatwić. Nieobce są mi ćwiczenia dla kobiet po porodzie, ale najpierw chciałabym z nią porozmawiać. Obiecuję, że będę się pilnować.

Uśmiechnął się sceptycznie.

– Mogę ci zaufać?

– Jacob, daj spokój. Pozwoliłeś mi tu pracować, przynajmniej chwilowo, więc mi nie przeszkadzaj.

– Przedstawię was, a potem się oddalę. – Podeszedł do drzwi. – Ale, Maxi...

– Tak?

– Chyba... powinienem ci podziękować. Stłumiła nerwowy śmiech.

– Daj mi to na piśmie.

Przedstawił ją pacjentce, po czym nie omieszkał zaznaczyć, że Maxi jest lekarzem z Anglii oddelegowanym do pracy w Australii.

– Na pewno trudno pani wytrzymać w tych temperaturach – zauważyła Karryn.

– Trochę tu gorąco, ale i wam nie jest łatwo. Jak maluszek się sprawuje?

Kobieta spojrzała na dziecko.

– Idealnie. Chyba jest bardzo spokojny. Przeciwiństwo Nathana. Koszmar. Wszędzie było go pełno i tak zostało. Tęsknię za moimi pociechami...

– Nie wątpię. – Maxi lekko uścisnęła jej ramię. –I o tym chciałam porozmawiać. O pani powrocie do domu. Doktor Haslem wprowadził mnie w państwa trudną sytuację.

– Teraz wszystkim jest ciężko, nie tylko nam.

– Jak się pani czuje?

– Przyznam, że miło jest trochę poleżeć, ale muszę wracać do domu, żeby pomóc mężowi. Nie mam wyboru.

– Może jednak ma pani jakiś wybór. Gdybyśmy się tak skupiły...

– Jaki wybór?

– Na przykład, mogłaby pani zostać w szpitalu kilka dni dłużej.

– No, nie wiem...

– Obiecuję, że nie zmarnujemy tego czasu – kusila ją Maxi. – Mogłabym też codziennie robić pani masaże.

– Jeszcze nigdy nie miałam masażu.

– Moje pacjentki zawsze były bardzo zadowolone.

– Mój brzuch to kompletna katastrofa – mruknęła Karryn.

– No, tego nie da się uniknąć. W tej chwili wszystkie mięśnie brzucha są zwiotczałe, no i proszę nie zapominać, że to pani trzecia ciąża. Taki stan utrzymuje się przez około trzy miesiące. Ale znam kilka skutecznych ćwiczeń.

Karryn nie wyglądała na przekonaną.

– To na pewno zajmie mi dużo czasu. Na czym one polegają?

– Są bardzo proste i można robić je w domu. – Gdy Maxi pokrótce opisała ćwiczenia wzmacniające mięśnie brzucha, Karryn wyraźnie posmutniała.

– **Ale...** mnie nie stać. Ile by to kosztowało?

– Ani centa. Wystarczy, że przepisze się pani z listy pacjentów doktora Haslema na moją, pod warunkiem że nie ma pani nic przeciwko temu.

– Skądże. Doktor Haslem jest wspaniały, ale... czasami dobrze jest porozmawiać z kobietą. Mieliśmy tu lekarkę, jak byłam w ciąży z Belindą, ale ona już dawno wyjechała.

Maxi uznała, że pacjentka nabrała do niej zaufania.

– Dzisiaj dam pani spokój, ale jutro przyjdę z samego rana i weźmiemy się za ćwiczenie, zgoda?

– Super. Mam nadzieję, że zostanie pani tu dłużej.

– Dziękuję, też na to liczę. – Taka ufność pacjentki napawała ją radością. Teraz pozostało jej jedynie przekonać Jake'a, by wyraził na to zgodę.

Musi go przekonać. Nie dopuści do tego, żeby potraktował ją jak niepotrzebny bagaż, który wsadzi do samolotu i odeśle. Nieoczekiwanie zalała ją fala tęsknoty, potrzeba czucia się kochaną przez Jake'a. To ta potrzeba przygnała ją, poniewczasie, do tej australijskiej dziury.

Przypomnił się jej ich pierwszy pocałunek. Miejsce i czas nie miały nic wspólnego z romantycznością. Myli się po bardzo trudnej operacji, a gdy się wyprostowali z uniesionymi i ociekającymi wodą ramionami, Jake nagle się ku niej pochylił... i ją pocałował.

Świat zawirował jej przed oczami. Bezwiednie otoczyła go ramionami, mokre ręce trzymając z daleka, i przyłgnęła do niego całym ciałem, gnana cudownym instynktem. Jakby było im to pisane od pierwszej chwili, kiedy Jake wszedł na oddział.

– Dotknij mnie, Maxi – szepnął.

– Mam mokre ręce...

– No to co? – Przytulił ją jeszcze mocniej, aż krew zawrzała jej w żyłach.

Przeszło jej wtedy przez głowę, że mogłaby go całować przez całą noc.

Oprzytomnieli na odgłos wózka toczącego się korytarzem.

– Przyszły weekend? – szepnął. – Cotswolds?

– Tak.

ROZDZIAŁ TRZECI

Westchnęła, bo wspomnienie tego wydarzenia wywołało zamęt w jej myślach. Może to zmęczenie podróżą? A może przyjazd do Tangaratty to jedna wielka pomyłka?

Nagle ogarnęła ją tęsknota za tym, co zostało za nią. Za angielską zimą i szarym niebem, za zimnem szczypiącym w policzki podczas spacerów z psami, za starodawnym piecem w kuchni i matczyną zupą. Za rozmowami z bratem i zakupami z siostrą...

Potrząsnęła głową, by odpędzić niepotrzebne wspomnienia. Nie pora nurzać się w przeszłości.

Rezolutnym krokiem podeszła do stanowiska pielęgniarek.

– Pani doktor – zapytała Loretta – zrobić pani herbatę?

– Nie, dziękuję. Jake zaprosił mnie do pubu.

– Ach, oczywiście – przytaknęła Loretta. – W czwartki doktor jada w pubie. Bo w czwartki są steki.

Cały optymizm Maxi legł w gruzach. To zaproszenie nic dla niego nie znaczy. Dlaczego sobie wyobraziła, że musi być inaczej? Tłumiąc rozczarowanie, uśmiechnęła się z przymusem.

– Działa tu jakaś organizacja kobieca? – zwróciła się do Loretty.

– Noo... mamy koło gospodyń wiejskich. Może być?

– Tego mi trzeba. Znasz szefową?

– Oczywiście. To Liz Maynard, która ma sklep z pasmanterią na głównej ulicy, kawałek za domem Jake'a.

– Dzięki. Jutro do niej wpadnę.

– Nie smakuje ci stek? – zapytał Jake już w pubie.

– Smaczny – odparła, uśmiechając się promiennie. – Ale strasznie duży.

– Tak, to prawda, ale oni tutaj zawsze serwują pół krowy. – Jake wzruszył ramionami. – Jak nie możesz, to zostaw.

– Nie poczują się dotknięci?

– Wątpię, czy zauważą. – Napotkawszy jej zdziwione spojrzenie, nieznacznie się uśmiechnął. – Czego jak czego, ale akurat teraz wołowiny tutaj nie brakuje.

Nonszalanckim gestem odsunęła talerz.

– Czy możemy porozmawiać o liście moich pacjentów? – zapytała.

– Czy ktokolwiek ci obiecywał, że będziesz miała swoich pacjentów?

– Już mam jedną pacjentkę. Karryn.

– Faktycznie – mruknął. – O co chodzi?

– Zaproponowałam jej masaż i ćwiczenia. Chyba jej się to spodobało, bo zgodziła się zostać kilka dni w szpitalu.

– Co dalej?

– Jak to „co dalej”?

– Jak cię znam, to na tym nie poprzestałaś.

– Pracuję nad tym, jak ułatwić jej życie po powrocie do domu. – Uśmiechnęła się.

– Ooo. – Cholera, jeśli nie będzie miał się na bacności, znowu może za to słono zapłacić. – Słucham.

– Loretta skierowała mnie do koła gospodyń wiejskich – zaczęła z entuzjazmem. – Mam wrażenie, że ich działalność statutowa pozwala wykorzystać posiadane środki właśnie na taką pomoc, jakiej potrzebuje Karryn. Porozmawiam o tym z Liz Maynard. Czuję, że wspólnie coś wymyślimy.

– Nie obiecuj sobie za dużo – ostrzegł ją. – Liz może odmówić pomocy, bo ich fundusze są ograniczone.

– Jestem głucha na takie pesymistyczne krakanie

– oznajmiła. – Wierzę w sukces. Wydawało mi się, że ty też.

Uśmiechnął się blado.

– Maxi, to jest bardzo trudny okres dla tego regionu. Czasami wbrew naszym dobrym chęciom nic nie można zrobić, żeby to zmienić.

Podniosła do warg kieliszek. Nie była gotowa tak łatwo się poddać. Zawsze coś można zrobić.

Gdy wyszli z pubu, uprzytomniła sobie, że zapomnieli o jej liście pacjentów. Krok po kroku, pomyślała filozoficznie. Na razie ma co robić.

– Jutro dorobię ci klucze do domu i do przychodni – powiedział, gdy znaleźli się w jego salonie. – Masz w tej chwili wszystko, co ci potrzebne?

– Tak, dzięki. Hm... o której jesz śniadanie?

– Jak wychodzę z domu, to biorę banana.

Z dezaprobatą pokręciła głową.

– Tylko banana?! O której wychodzisz?

– Koło wpół do ósmej – odparł z wyraźną niechęcią.

– Jeżeli mamy kogoś w szpitalu, najpierw robię obchód, a potem idę do przychodni.

– Mogę zrobić ten obchód. I tak przyjdę do Karryn. Zawahał się.

– W porządku, dzięki.

– Co potem? Mam iść do przychodni?

– Przed czy po spotkaniu z Liz?

– Raczej po. Wobec tego dobranoc.

Nie mogła zasnąć. Nie dlatego, że łóżko było niewygodne, ale dlatego, że ze zmęczenia miała zamęt w głowie. Denerwowała ją też głucha cisza – do chwili kiedy za oknem odezwały się cykady. Hałas, jaki robiły, doprowadzał ją

do szalu, ale okazało się to niczym w porównaniu ze strachem, jaki ją ogarnął, gdy w buszu rozległo się rozpaczliwe wycie. Istny koszmar.

O matko... Zamknąwszy oczy, zaczęła robić ćwiczenia relaksacyjne. W Australii nie ma wilków! Ale brzmiało to jak wilki. I tak blisko...

W końcu zasnęła.

Obudziła się, o dziwo, wypoczęta. A trzyminutowy zimny prysznic dodał jej energii i pobudził umysł.

W stosownych spodniach oraz białej bluzce ruszyła do kuchni, gdzie ze zdziwieniem stwierdziła, że Jake jeszcze nie wstał. Postanowiła zrobić mu niespodziankę w postaci prawdziwego śniadania.

Rozglądała się po kuchni. Wodziła ręką po nierównościach drewnianego stołu, rozmyślając o lekarzach, którzy przy nim siadywali. I o czym mogliby jej opowiedzieć. Potem zachwyciła ją zawartość spiżarni i lodówki. Z dezaprobatą pokręciła głową. Nie ma powodu, by Jake nie jadł porządnych posiłków. Ale gotowanie dla jednej osoby to żadna frajda, pomyślała, co po raz kolejny kazało jej się zastanowić nad pustelnicznym żywotem Jake'a.

Mieszając jajka na jajecznicę, nabrała podejrzania, że na to odludzie przygnało go rozczarowanie spowodowane ich rozstaniem.

– Co tu się dzieje?

Rzuciła mu łobuzerskie spojrzenie.

– Dzień dobry. Robię śniadanie. Tylko nie mów, że nie masz czasu na jedzenie.

Lekko zaskoczony oparł się o framugę drzwi. Ona pasuje do tej kuchni, pomyślał. Ale, stary, nie przyzwyczajaj się do tego widoku. Może coś was łączyło, ale to już przeszłość.

– Doktorze, niech pan tak nie stoi beczynn timer. Trzeba zrobić grzanki.

– Maxi, naprawdę nie musiałaś... – Zajrzał jej przez ramię, bezwiednie dotykając jej karku.

W całym jej ciele odezwały się sygnały ostrzegawcze. Jeden gest zachęty z jego strony, a rzuci mu się w ramiona. Odetchnęła głębiej, by ochłonać, ale jej nozdrza polaskotał zapach jego żelu pod prysznic.

– Obudziłam się wcześniej, więc pomyślałam, że mogę zrobić śniadanie. Banana weź na lunch.

– Wezmę, wezmę. Wszystko, byle nie babeczki Ayleen.

– Oj, aż tak źle?

– Twarde jak kamień.

– Podejrzewam, że ona chce ci nieba przychylić.

– Oczywiście. – Wkładał chleb do tosterka. – Uważa, że trzeba się mną opiekować.

To teraz masz mnie. Zagryzła wargi, żeby tego głośno nie powiedzieć.

– Jak nie jesz tych babeczek, to co z nimi robisz? Chyba nie wyrzucasz ich do kosza?

– Broń Boże. – Teatralnie wzruszył ramionami. – Nigdy bym się z tego nie wytłumaczył. Chowam je do kieszeni dla Chalky'ego.

– Nie szkodzą mu?

– Chalky za nimi przepada. Są takie twarde, że chyba mu służą do czyszczenia zębów.

Ta beztroska wymiana zdań przyprawiła ją o dziwne uczucie lekkości. Teraz Jake zdecydowanie bardziej przypominał faceta, którego kiedyś znała... kochała. Żeby o tym nie myśleć, sięgnęła po talerze.

– Nie mów, że ona codziennie przynosi te babeczki.

– Tylko w piątki.

– To dzisiaj!

– Więc się przygotuj.

Serce jej rosło na widok radości, jaką Jake czerpał ze wspólnego przygotowywania skromnego posiłku.

– Będę miała dzisiaj jakichś pacjentów czy wszystkich zatrzymasz dla siebie?

Powoli pił herbatę.

– Wyznaczę ci kilku.

– Cieszę się. Tylko nie przysyłaj mi samych kobiet.

– Bądź czujna, Maxi, bo zetkniesz się także z fizycznymi dolegliwościami, które są wyłącznie objawami stresu.

– Tajemnicze bóle, a w rzeczywistości potrzeba pogadania?

– Tak. Mamy też coraz więcej przypadków nadużywania alkoholu i narkotyków. Zachowaj ostrożność, a w razie wątpliwości skonsultuj się ze mną, zanim coś zaordynujesz.

– No, na to mogę się zgodzić.

O dziesiątej stawiała się w przychodni. Ledwie weszła, Ayleen przywołała ją do siebie w odległy koniec korytarza, tak by nie słyszeli ich pacjenci.

– Jake zaproponował, żeby najpierw pani doktor zaznajomiła się z naszą placówką i dopiero po lunchu przyjęła kilku pacjentów.

– Bardzo chętnie. Zapomnijmy o niepotrzebnych konwenansach. Mam na imię Maxi.

– Ayleen. Skoro już to sobie wyjaśniłyśmy, przejdźmy do rzeczy.

– Oczywiście.

– To będzie twój gabinet – powiedziała Ayleen, prowadząc ją do jednego z pokoi.

– Uau... – wyrwało się Maxi na widok wyposażenia. – Tutaj zawsze pracowało dwóch lekarzy?

– Tak. Dwa lata temu Jake dołączył do Toma Wilde'a, ale Tom musiał wyjechać i od tej pory Jake jest sam. To dla nas wielka ulga, że chociaż przez jakiś czas ty tu będziesz.

– Ten lekarz na zastępstwo się nie pokazał? Ayleen potrząsnęła tlenioną fryzurą.

– W agencji mi powiedzieli, że się rozmyślił.

– I nie ma szansy, żeby zmienił zdanie?

– Jak załapał się gdzieś na wybrzeżu? W dzisiejszych czasach ludzie nie wiedzą, co to poczucie odpowiedzialności – zawyrokowała Ayleen. – To jest brak szacunku. W moich czasach, jak komuś proponowano pracę, to on by nie śmiał się nie pokazać. Chodźmy dalej.

Z mieszanymi uczuciami Maxi ruszyła za nią.

– Oto nasz gabinet zabiegowy. – Ayleen ledwie pozwoliła jej się rozejrzeć, bo już prowadziła ją dalej. – Tu jest nasza, kuchnia, a skoro już tu jesteśmy, to co byś powiedziała na herbatę i babeczki? Wczoraj je upiekłam.

O kurczę, te koszmarne babeczki.

– Dziękuję, już piłam herbatę. Z Loretą, w szpitalu.

– Wobec tego umawiamy się na przyszły piątek. – Ayleen uśmiechała się promiennie. – Teraz ja wracam do swoich zajęć, a ty się rozgość. Na lunch robię kanapki. Wliczyć cię?

– Tak, poproszę.

– Jak upłynął ci poranek? – zapytała Maxi, gdy Ayleen wyniosła tacę z lunchem z pokoju dla personelu, a ona zasiadła za swoim biurkiem.

– Jak zawsze. A tobie?

– Myślę, że był całkiem udany. – Uśmiechnęła się. – Liz wysłuchała mnie z uwagą i złożyła pewne obietnice. Dowiedziałam się, że sprawy kobiet oraz

dzieci są priorytetem tutejszego koła, więc pomoc dla Karryn i jej niemowlaka jest zgodna z ich statutowymi zadaniami.

Jake uniósł brwi.

– Czego konkretnie się podjęła?

– Poprosi członkinie, żeby ugotowały i zamroziły posiłki dla Karryn, żeby nie zaprzętała sobie głowy karmieniem całej rodziny. Poza tym zrobią dla niej prezent w postaci kosza z rzeczami dla niemowlęcia. Zapewne znajdzie się tam też coś dla starszych dzieci.

– Fantastycznie. Jestem pod wrażeniem. – Wykrzywił wargi w podkówkę. – Dlaczego sam na to nie wpadłem?

– Nie miej sobie tego za złe. Trudno o obiektywizm, kiedy na co dzień trzeba się zmagać z powszechnym stresem. A czasami... – zawiesiła głos – skuteczne okazuje się podejście „jak kobieta z kobietą”. Ale to nie wszystkie dobre wiadomości. Synowie Liz przyjechali teraz do domu z internatu. Liz twierdzi, że już się śmiertelnie nudzą, więc obiecała porozmawiać z Karryn i Deanem, żeby na najbliższe dwa tygodnie chłopcy przejęli rozrzucanie siana.

– Obawiam się, że Deana nie stać na to, żeby ich porządnie wynagrodzić.

– Liz jest przekonana, że jak wyjaśni chłopcom, jaka jest sytuacja, zrobią do nieodpłatnie. Heath, ten starszy, ma prawo jazdy, więc ich tam zawiezie. O co ci chodzi?

– O nic. – W ciągu kilku godzin ta kobieta dokonała cudów, zdejmując mu z ramion wielki ciężar. Nie da się zaprzeczyć, że jej wkład pomoże i przychodni, i pacjentom. Ale przez dwa lata tłumił w sobie to, co do niej czuł. Czy naprawdę chce rozdrapywać ledwie zabliznione rany?

– Uważasz, że przesadziłam? – zaniepokoiła się.

– Słucham? Czy co uważam?

– Że przesadziłam w sprawie Karryn i Deana?

– Nie. Dobrze zrobiłaś. Informuj mnie na bieżąco o postępach. – Spojrzał na zegarek. – Muszę niedługo jechać na jedną z farm, bo kogoś tam poturbował buhaj i zanosi się na spore szycie. Może mi to zająć kilka godzin, więc zostajesz sama. Zapisały się tylko cztery osoby.

– Nie ma sprawy.

– Gdybyś chciała się ze mną skonsultować, dzwoń na komórkę. – Wstał. – Mogę wrócić bardzo późno.

– Poradzę sobie. – Razem z nim wyszła z pokoju. – Pomyślę, co zrobić na kolację. Nie spiesz się.

– Maxi, za bardzo się nie przyzwyczajaj – rzekł zmienionym tonem. – Jeszcze nic nie zostało postanowione.

– Chcesz powiedzieć, że ty niczego jeszcze nie postanowiłeś – zachnęła się. – Ale ja nie wierzę, że mnie stąd przepędzisz. Więc decyzja, czy zostaję, czy wyjeżdżam, należy wyłącznie do mnie.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę.

– Zobaczymy – wycedził. – Po prostu nie zaczynaj czegoś, czego nie będziesz w stanie zakończyć.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Długo dźwięczało jej w uszach to mało subtelne ostrzeżenie. Może powinna była ugryźć się w język? Ale już nie odwoła tych słów. Może to i dobrze. Jednak jeśli Jake naprawdę każe jej opuścić Tangaratę, to co wtedy?

Z tym niepokojącym scenariuszem w głowie podeszła do recepcji.

– Ayleen, podobno na popołudnie masz zapisanych tylko czworo pacjentów.

– Na razie. Bo często przychodzą prosto z ulicy, więc się nie zdziw, jak zrobi się ich więcej.

– Nie ma sprawy. Aha, mam zwyczaj wychodzić z gabinetu na korytarz i osobiście prosić pacjentów, to wam nie przeszkadza?

– Ależ skąd. Jake robi to samo. Mogę ci w czymś pomóc? – zapytała Ayleen, widząc jej wahanie.

– Tak. – Maxi przygryzła wargę. – Czy mamy jakieś ulotki na temat zdrowego trybu życia?

– Oczywiście! Chodź ze mną.

Pierwsza pacjentka, Erin Langley, stawiała się punktualnie.

– Siadaj, Erin, i mów mi Maxi.

– Chciałam zapytać o Bonnie. – Młoda kobieta trzymała na kolanach małą dziewczynkę.

– Co jej dolega?

– Nie chce jeść. Boję się, że się zagłodzi. Rozrzuca jedzenie, więc ciągle muszę sprzątać. A z ojca nie ma pożytku.

A ty jesteś na ostatnich nogach, dopowiedziała Maxi w myślach.

– Bonnie jest twoim pierwszym dzieckiem?

– Tak. Nie wyobrażałam sobie, że to takie trudne.

– O, takie maluchy potrafią zaleźć za skórę, ale Bonnie wygląda na zdrową i bystrą dziewczynkę.

Erin postawiła córeczkę na podłodze, gdzie mała natychmiast ruszyła w stronę kosza z zabawkami.

– Można? – zapytała speszona Erin.

– Po to tu są. – Zanotowała w pamięci, by dokupić nowe zabawki i książeczki. – Erin, opowiedz mi, jak żyjesz –poprosiła, by zorientować się w sytuacji rodzinnej matki.

– Co byś chciała usłyszeć?

– Jak wygląda twój dzień. Zarabiasz jakieś pieniądze?

– Nie. Tu nie ma pracy, nawet jakbym chciała pracować. Jesteśmy tu dopiero trzy miesiące, bo Craiga, mojego męża, tu oddelegowano. Craig jest policjantem. Nie lubię tego miasteczka. W Sydney miałam koleżanki, Bonnie chodziła do żłobka. Musiałam to wszystko zostawić...

– Czujesz się odizolowana i samotna.

– Pomyślisz, że jestem żałosna. – Dziewczynie zbierało się na płacz.

– Wcale tak nie myślę. To całkiem normalne. I zapewne dlatego brak apetytu małej tak cię załamał. Twój mąż ma pracę zmianową, prawda?

– To takie trudne... Jak on śpi, to muszę ją cały czas uspokajać albo wyjść z domu. A tu nie ma dokąd.

– Próbowałaś się zorientować, czy są tu jakieś żłobki, grupy przedszkolne?

– Byłam w bibliotece, czytałam ogłoszenia na tablicy w supermarkecie, ale tutaj wszyscy zajmują się wyłącznie suszą.

– A koło gospodyń? Może tam znalazłabyś jakiś kontakt.

– Tam są tylko starsze panie. Co one mogą wiedzieć o przedszkolach?

– O, myślę, że coś wiedzą. Wiesz, gdzie na głównej ulicy jest pasmanteria?

– Byłam tam kilka razy – odparła Erin, nie kryjąc zdziwienia. – Robię patchworki.

– A ja w wolnych chwilach robię na drutach, ale patchworki... to wielkie wyzwanie.

– Wcale nie. Jak się nabierze wprawy... – Erin się rozpromieniła. – Zdobyłam nawet kilka nagród – dodała zmieszana. – Dlaczego pytasz o ten sklep?

– Bo jego właścicielka Liz Maynard jest osobą kontaktową koła gospodyń. Tam jest sporo młodych kobiet. Z takimi umiejętnościami jak twoje staniesz się ich chlubą.

– Tak myślisz?

– Wiem od Liz, że poszukują kobiet, które posiadają szczególne umiejętności. Jak zbadam Bonnie i porozmawiamy o jej jedzeniu, mogłabyś tam zajrzeć. Liz jest bardzo sympatyczna.

– Może... – Erin spojrzała z wyrzutem na córeczkę.

– Ale jeżeli się tam zapiszę, to będę musiała chodzić na spotkania. Co wtedy zrobię z Bonnie?

– Jestem przekonana, że jest tam opiekunka do dzieci.

– Oby tak było. – Głównym zadaniem tej organizacji jest opiekowanie się kobietami i dziećmi. Myślę, że od tego mogłabyś zacząć.

– Może się uda. – Erin się uśmiechnęła.

– Zajmijmy się teraz Bonnie. – Erin wstała. – Ma wszystkie szczepienia?

– Tak, bardzo tego pilnuję. Maxi zbadła dziewczynkę.

– To bardzo zdrowe dziecko – orzekła. – Wzrost i waga w normie. Sądę, że je, ile trzeba. Pamiętaj, że małe dzieci mają małe żołądki, a instynkt nie pozwala im się zagłodzić.

– Ona jest kapryśna. Daję jej różne rzeczy do jedzenia.

– Bardzo dobrze, tak trzymaj. Lubi warzywa?

– Raczej nie.

– Hm. Większość dzieci lubi frytki. Więc spróbuj podpiec w piekarniku słupki słodkiego ziemniaka albo dyni, może nawet buraka. Jest w nich mnóstwo witamin.

– Nie przyszło mi to do głowy. A jak ją zachęcić do owoców? Ona je po prostu rzuca na podłogę.

– Nie ona jedna. – Maxi się roześmiała. – Spróbuj ułożyć na ładnym talerzyku drobno pokrojone owoce, przemyć tam marchewkę i seler łądugowy, a do tego kubeczek z jogurtem do nabierania owocami. Usiądź z nią i jedzcie razem. Dzieci lubią jeść w towarzystwie.

– To takie proste, jak o tym mówisz. Chyba jestem leniwa.

– Ej, nie obwiniaj się. Człowiek zbiera doświadczenia stopniowo, a każde dziecko jest inne. – Sięgnęła po ulotki. – Weź to. Między innymi znajdziesz tu przepisy dla dzieci.

– Dzięki. – Erin schowała ulotki i wzięła córeczkę za rękę. – Bałam się kazania o obowiązkach rodziców.

– Tutaj nie ma kazań. – Maxi pogładziła dziewczynkę po policzku. – Erin, myśl też o sobie. – Pomna uwagi Jake'a na temat monitorowania poziomów stresu u pacjentów, dodała: –I przychodź do mnie, jak poczujesz, że musisz z kimś porozmawiać.

– Dzięki. Na pewno przyjdę.

Ostatnim pacjentem był sześćdziesięciodwuletni Les Fielding. Przyszedł po receptę na leki obniżające ciśnienie.

– Trochę za wysokie – stwierdziła, zdejmując rękaw ciśnieniomierza. – Czy coś panu dokucza?

– Ta cholerna susza wszystkich nas wykończy.

– Pracuje pan na farmie?

– Nie. Mam sklep w Emerald Crossing, ale ludzi nie stać, żeby płacić, więc jak mogę, to daję im na zeszyt. W końcu kiedyś mi zapłacą, ale sama pani wie...

– Wiem, bardzo jest trudno. – Wyjęła receptariusz z szuflady. – W karcie doktor Jake zapisał, że ma się pan zgłaszać na kontrolę co pół roku.

– Taak... – rzekł ostrożnie, prostując się na krześle. Po jej akcencie zorientował się, że jest Angielką. Oby nie zechciała zmieniać mu kuracji...

– Proszę się nie niepokoić. – Język jego ciała nie budził wątpliwości. – Nie bardzo podoba mi się ten skok ciśnienia.

– Jake mnie ostrzegął, że może się wahać. I że nie należy się tym przejmować.

– Zapewne. – Z uśmiechem podała mu receptę. – Ale na wszelki wypadek chętnie bym pana obejrzała za miesiąc. Da pan radę przyjechać?

– Jak trzeba, to przyjadę. – Wsunął receptę do kieszonki koszuli. – Mam się zapisać do pani doktor?

Bezwiednie dotknęła medalionu na szyi. Będzie tu za miesiąc? Przecież już postanowiła, że ta decyzja należy wyłącznie do niej.

– Jak pan uważa, ale jeśli woli pan zostać u doktora Jake'a...

Les pokręcił głową.

– Nie, nie, zapiszę się do pani doktor – zapewnił ją z szelmowskim uśmiechem. – Proszę do mnie mówić Les. Tylko małżonka nazywa mnie panem Fieldingiem.

Lekko zaskoczona i rozbawiona aluzją do sytuacji ze znanej powieści, roześmiała się cicho i pogroziła mu palcem.

– Zatem, Les, do zobaczenia za miesiąc.

Jake zajechał do miasteczka późnym wieczorem. Przez całą drogę od pacjenta do domu zmagał się z natłokiem sprzecznych myśli.

Jak Maxi poradziła sobie z pacjentami? Na pewno doskonale. Zaciśnął wargi. Błyskawicznie zadomowiła się w przychodni, więc dlaczego tak bardzo mu zależy na tym, by wyjechała już za tydzień? Bo musiałby odgrzebywać przeszłość oraz uwolnić emocje, ryzykując, że Maxi znowu go porzuci. A w ogóle to co ją sprowadza do Tangaratty?

Zdecydowanie nie ciekawość, jak mu się wiedzie. Tego był stuprocentowo pewny.

Zły, że uporczywe rojenia nie dają mu spokoju, zaparkował obok domu i sięgnął po torbę.

Nim doszedł do werandy, w jego nozdrza uderzył niezwykle zapach. Smakowity zapach domowego posiłku. Ogarnęło go dawno zapomniane uczucie lekkości. Nerwowo przetykając ślinę, wbiegł po schodkach.

– Maxi!

– Tu jestem. – Z radości słowa więły jej w gardle.

– Cześć. – Postawił torbę i rozejrzał się po kuchni. – Spodziewamy się gości?

– Coś ty! – Czuła, że lada moment puszcza jej nerwy, więc zajęła się wygładzaniem wyimaginowanej zmarszczki na białym obrusie. – Zwyczajna kolacja. Przecież powiedziałam, że coś zrobię.

O cholera. Jak zahipnotyzowany wodził wzrokiem po obrusie, lśniących sztućcach i smukłych kieliszkach. Co ona chce przez to wyrazić? Jakiej reakcji oczekuje?

– Nie musiałaś.

– Mam użyć papierowych talerzy? – zapytała.

Nie odpowiedział. Za to wyjął z lodówki puszkę piwa. Otworzył ją i pospiesznie wypił kilka łyków.

– Jak było w przychodni?

– W porządku. A jak się ma pacjent, ofiara bliskiego spotkania z buhajem?

– Nie najlepiej. – Ściągnął brwi. – Okazało się, że rana ma już kilka dni, więc nie nadawała się do szycia. Chyba zanoszą się na infekcję.

Pokręciła głową.

– Dlaczego on z tym zwlekał?

– To smutne, ale mężczyźni na prowincji, zwłaszcza ci z wiosek i osad, nie traktują spraw związanych ze zdrowiem jako priorytetu. – Upił łyk piwa. – Unikają wizyt u lekarza tak długo, jak długo są w stanie znieść zrzęczenie żon.

– To karygodne – oburzyła się. – Próbowalesz wdrożyć jakiś program zdrowotny dla mężczyzn?

– Rok temu. Zgłosił się jeden.

– Może potrzebne jest inne podejście. Wzruszył ramionami.

– Daję ci wolną rękę.

– Zgadzasz się, żebyś coś takiego poprowadziła? – Ze zdumienia szeroko otworzyła oczy.

– Dlaczego nie? Na innych polach potrafisz działać cuda, więc przy odrobinie szczęścia zapewnisz całą salę.

Poczuła, że się czerwieni. Jake z niej drwi? Trudno dociec. Potraktuje jego wypowiedź dosłownie.

– W jaki sposób miałabym wszystkich zawiadomić o takim spotkaniu?

Lekko uniósł brwi.

– Siedząc tu dwa lata, zorientowałem się, że najlepszymi przekąźnikami są kobiety. Mogłabyś zacząć od Liz Maynard. Kable telefoniczne będą rozgrzane do czerwoności, zanim wyjdiesz z jej sklepu.

– Okej... – Skubała zębami dolną wargę, – Myślisz, że moglibyśmy kiedyś usiąść i o tym porozmawiać?

– To jest twój pomysł – powiedział, patrząc jej prosto w oczy. – Ty się z tym męcz.

– Nie chcesz się angażować? Tak mam to rozumieć?

– Tak. Twierdzisz, że problemy zdrowotne mężczyzn wymagają nowego podejścia... – Odwrócił się, by wcelować pustą puszką do pojemnika na śmieci.

– Zdążę przed kolacją wziąć szybki prysznic?

Nie uznała za stosowne odpowiedzieć na to pytanie.

– A propos mężczyzn, był u mnie Les Fielding. Nie podobało mi się jego ciśnienie, więc zapisałam go na wizytę za miesiąc.

– Nie ma sprawy. Gruntownie go przebadam.

– Ale... – Serce jej zatrzepotało. – Les dał mi do zrozumienia, że wolałby zostać u mnie. – Zawahała się, oczekując, że Jake zgani ją za spoufalanie się z pacjentami i umacnianie swojej pozycji w przychodni.

Ale on powiódł wzrokiem po doniczkach z kaktusami na parapecie, po czym spojrzał na nią.

– Co jest na kolację?

Miała ochotę pokazać mu język. Jake najwyraźniej nie zamierza wszczynać dyskusji na temat jej pobytu w Tangaratcie. To podsunęło jej nowy pomysł: może Jake już się z tym pogodził. Przestań kombinować!

– Lasagne i sałata.

Wrócił wkrótce w bojówkach i granatowej koszulce polo.

– Błyskawiczny prysznic – rzuciła, trzymając zapalną zapałkę nad wysokimi kościelnymi świecami. – Wykryłam je w schowku na pranie. – Rozeźmiała się nerwowo. – Myślisz, że można je wziąć?

– Można. – Wyglądał na rozbawionego. – Trzymamy je na wypadek przerwy w dostawie prądu.

– Pomyślałam, że miło jest mieć świece do kolacji. Tak... kulturalnie.

– Uhm. Wino też wykryłaś?

– Nie, kupiłam w pubie. Mam nadzieję, że dobre. – Zerknęła na niego niepewnie. – Chardonnay z winnicy Hunter Valley.

– Bardzo dobry wybór – pochwalił ją. – To najlepsze wina w Australii.

– Dawno nie jadłem takich pyszności – powiedział, pochłaniając pudding cytrynowy na gorąco.

– Ta kuchnia jest kapitalna. – Wzruszyła ramionami. – Świetnie mi się tu gospodarzyło. – Było coś bardzo zmysłowego w gotowaniu dla kochanka. Z tym że Jake od dawna nie był jej kochankiem.

– Maxi, po co tu przyjechałaś?

Drżącymi palcami mięła serwetkę, po czym upuściła ją na obrus. Teraz albo nigdy.

– Chciałam podróżować i pomyślałam, dlaczego nie do Australii? Poza tym czułam, że muszę się dowiedzieć... co myślisz. Nie podobało mi się nasze rozstanie.

– Tylko ty mogłaś to zmienić.

Serce się jej ścisnęło. Muszą do tego wracać?

– To się stało za szybko. Za dużo ode mnie oczekiwałeś.

– Propozycja małżeństwa to za dużo? Myślę, że to dowód, że moje intencje były co najmniej uczciwe.

– Ale nie w porę – odparła przez ściśnięte gardło. – Nie chciałam tego wałkować.

Zmrużył oczy.

– Więc czego chcesz teraz? Liczysz na niezobowiązujące bara–bara?

Aż się skurczyła, porażona jego niewybrednym językiem.

– Chciałabym, żebyś okazał szacunek dla tego, co nas dawniej łączyło.

Nie bądź taki... spięty z powodu mojej obecności.

– Wiesz co, Maxi? W tej chwili nic do ciebie nie czuję.

Więc skąd w nim ten niepokój? – przeszło jej przez głowę. Skoro nic do niej nie czuje. Wykazała ogromną wiarę, decydując się go odszukać. I nie po to wydała prawie wszystkie oszczędności oraz pokonała tysiące kilometrów, żeby teraz się załamać i uciec, bo on jest niesympatyczny.

Musi zdobyć się na cierpliwość, bo prawdopodobnie Jake nadal jest w szoku z powodu jej nieoczekiwanej wizyty. Ale gdyby dał jej szansę wytłumaczyć...

Milczeli pogrążeni w myślach.

Gdy zadzwoniła komórka, upłynęła dłuższa chwila, nim to do nich dotarło. W końcu Jake zerwał się od stołu. Nie spoglądając na nią, wyszedł z komórką na werandę.

– Brian Forrester z domu opieki w Lakeview – wyjaśnił, wróciwszy do kuchni. – Dwoje starszków, Violet i Trevor Hawthorne'owie, ma objawy nieżytu żołądka.

Maxi pospiesznie zbierała myśli. Wstała i zaczęła sprzątać ze stołu.

– Kiedy to się zaczęło?

– Po południu. Nagle. Oboje są bardzo słabi, więc Brian wołał za długo się nie zastanawiać. Pojadę tam i być może przywiozę ich do szpitala.

– Należałoby przede wszystkim ustalić przyczynę. –Przerzuciła się na tryb zawodowy, odsuwając na bok swój dramat. – Zatrucie pokarmowe?

– Możliwe. Jeżeli to zatrucie, to można się spodziewać nowych zachorowań.

– Warto by sprawdzić, co jedli na lunch – zauważyła. – Ale z drugiej strony, nietrudno złapać jakiegoś wirusa.

– Jasne. Poradzisz tu sobie?

Jakby go to cokolwiek obchodziło. Przeszłował z nogi na nogę, wahając się.

– Z czym?

– Nie wiem, kiedy wrócę.

Zignorowała jego pełne zatroskania spojrzenie.

– Jacob, rób, co do ciebie należy, a ja zajmę się swoimi sprawami. – Odwróciła się do niego plecami i pochyliła nad zlewem.

Nie pozostało mu nic innego, jak wyjść z kuchni.

Z westchnieniem włączył silnik i ruszył w stronę Lakeview. Cholera, zachował się jak małolat cierpiący z powodu urażonej dumy. Jednocześnie nękały go wyrzuty sumienia, że podeptał uczucia Maxi. Po raz kolejny.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wstał wcześniej, czując nieprzyjemny ucisk w żołądku. Wolałby wrócić do łóżka i odciąć się od całego świata, ale czekało go ważne zadanie.

Przeprosić Maxi.

Wszedł do kuchni w przeświadczeniu, że ją tam zastanie. Niestety, kuchnia była pusta.

Zaniepokoił się, bo w domu panowała martwa cisza. Zdrętwiał. Wyjechała, zrażona jego agresywnymi uwagami oraz obwinianiem jej o to, co się kiedyś stało?

Z bijącym sercem odwrócił się i ruszył do jej pokoju. Zapukał do drzwi raz i jeszcze raz, zdecydowanie głośniejszym głosem. Brak odpowiedzi.

Cholera. Oparł czoło o drzwi. Co mu się stało? Niezależnie od tego, co kiedyś ich łączyło, to teraz Maxi jest gościem w jego kraju. Powinien dokładać wszelkiej staranności, żeby dobrze się tu czuła, a on...

Zaklął cicho, gdy przed oczami stanął mu obraz niczym z filmu grozy Maxi jadącej pustą szosą. Podniósł głowę i odetchnął głęboko, by pozbiierać myśli. Nie jest wykluczone, że przerażony wyciąga pochopne wnioski. Zawsze jest taka możliwość. Położył rękę na klamce.

– Maxi... ? – Uchylił nieco drzwi. – Śpisz?

Nie odpowiadała, więc wszedł do środka. Najpierw rzuciło mu się w oczy idealnie zaścielone łóżko. Brakowało mu powietrza. Nawet w nim nie spała?

Omiótł spojrzeniem cały pokój, ale z każdą chwilą jego serce coraz bardziej się uspokajało. Jej rzeczy nie zniknęły.

Z wolna opuszczał go strach oraz poczucie winy. Gdzie ona jest? Poszła do szpitala? Na pewno. Ale mogłaby zostawić mu jakąś wiadomość.

Z mieszanymi odczuciami pospieszył na werandę, oparł dłonie na barierce i zapatrzył się w rzadkie źdźbła suchej trawy. Chwilę później usłyszał trzask furki w ogrodzie. Ulga, jaką odczuł, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki uzewnętrzniła się w formie zarzutu.

– Gdzie ty się szwendasz?! Powoli podniosła wzrok.

– Poszłam z psem na spacer – odparła beznamiętnym tonem, pochylając się, żeby odpiąć psu smycz.

– Gdzie byliście?

– Na polu za kościołem. Chalky wybiegał się za wszystkie czasy. – Patrzyła czule na psa, który najpierw okrążył ją kilka razy, po czym puścił się na drugi koniec podwórza. – Brawo! – zawołała, wieszając smycz na haku obok węża ogrodowego. Z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku weszła na werandę. – Coś taki skrzywiony? Padły ci wszystkie kury? – Wyminęła go i weszła do domu.

Wściekły ruszył za nią.

– Kto to widział tak znikać!

– Jak znikać? Wstałam, jak widać, wcześniej niż ty, i postanowiłam zażyć świeżego powietrza w czyimś towarzystwie.

– I wybrałaś psa.

– Tak, wybrałam psa.

– A nie mnie.

Roześmiała się szyderczo.

– Uznałam, że moje towarzystwo będzie ci niemiłe. – Wzruszyła ramionami. – Przepraszam, muszę wziąć prysznic.

– Maxi, zaczekaj... – Wahał się. – Szukałem cię, żeby cię przeprosić za to, co wczoraj mówiłem. Poniosło mnie. Zachowałem się jak idiota.

Raczej jak zadufany w sobie małolat, pomyślała, gryząc się w język. Wzruszyła lekko ramionami, po czym podniosła rękę, żeby zdjąć z głowy opaskę.

Obserwując ją, doznał gwałtownego skurczu serca, gdy spod bluzki błysnął kawałek jej ciała, tak jasnego i delikatnego jak porcelana. Zalała go fala wspomnień z czasów, gdy byli razem. Z trudem się powstrzymał, by nie jęknąć. Jej też nagle zrobiło się gorąco. Pod wpływem spojrzenia Jake'a przeszył ją dreszcz. To wszystko przez tę bluzkę, która niczego nie zakrywa.

– Przeprosiny przyjęte – rzuciła pośpiesznie.

– Dzięki. – Kamień spadł mu z serca. – Teraz możesz iść pod prysznic.

Przygotuję śniadanie.

– Prawdziwe angielskie?

Bezczelna małpa. Spuścił głowę, żeby ukryć uśmiech.

– Zobaczę, co da się zrobić.

– Niestety, nie znalazłem pieczarek – wyznał, stawiając przed nią talerz.

Oczy jej się roześmiały na widok bekonu, jajek, parówek oraz pomidorów.

– Bez fasoli?

– U mnie fasoli nie uświadczysz – mruknął rozbawiony.

– Bardzo zdrowa.

– Uhm.

Zamyśliła się

– Tak, rzeczywiście.

– Słucham?

– Przypomniałam sobie, skąd się wzięła ta twoja awersja do fasoli. Od kiedy przywieźli nam na dyżur całą klasę...

Powstrzymał ją gestem.

– Maxi, jeszcze słowo, a pójdziesz jeść do Chalky'ego.

– Ponurak...

– Zajmij się jedzeniem, a potem poważnie porozmawiamy. – Nie mógł oderwać od niej wzroku. Wyglądała ponętnie i zarazem niewinnie w lekko rozchylonej białej bluzce, z jeszcze wilgotnymi włosami...

Zadrzała, jakby naprawdę jej dotknął. Tęskniła za jego dotykiem, namiętnością, za jego oddechem i słowami szeptanymi, gdy ją całował.

– Jedzmy, bo nam ostygnie – mruknęła, skrywając zażenowanie z powodu niestosownych w tej sytuacji myśli.

– Masz więcej seniorów z niedyspozycją żołądkową? – zapytała, gdy po jedzeniu pili herbatę.

– Chyba unikniemy epidemii – powiedział. – Okazało się, że tylko Violet i Trevor jedli lunch w ośrodku opieki. Cała reszta pojechała na wycieczkę autokarową.

– Więc można przyjąć, że źródłem niedyspozycji był lunch?

– Brian jest tego samego zdania, bo nikt inny się nie rozchorował.

– Przyjąłeś ich do szpitala?

– Na wszelki wypadek. – Zerknął na nią. — Jak byłaś w łazience, zadzwoniłem do szpitala. Noc upłynęła im w miarę spokojnie. Niedługo pójde ich zbadać i pewnie po południu odeślę do ośrodka.

– Pójdziemy razem, bo jestem umówiona z Karryn.

– Za piętnaście minut? – Spojrzał na zegarek.

– Spokojnie. – Wstała od stołu. – Pozmywam, bo ty zrobiłeś śniadanie.

– Wstaw do zmywarki. – Pomagał jej zbierać ze stołu. – Podobno zużywa mniej wody.

– Skoro tak, to wystarczy, jak ją włączymy raz na dwa dni. Ile nabrudzimy tylko we dwoje?

– To nie to, co u ciebie w domu. – Uśmiechnął się. Na farmie jej rodziców spędził kilka weekendów i był oczarowany serdeczną atmosferą królującą w tej wielopokoleniowej rodzinie. Oraz kuchnią jej matki. – Wszyscy zdrowi? – Podszedł bliżej, gdy wstawiała naczynia do zmywarki.

Na moment zeszywniała.

– Tak, zdrowi. – Teraz, pomyślała. Nie, jeszcze nie, bo dopiero co zaczęli komunikować się jak ludzie. – Miffy miała szczeniaki.

– Ta malutka Miffy?

– Ona już nie jest malutka! Miała cztery pieski, ale mama już znalazła im właścicieli. No, gotowe. – Wyprostowała się i tak energicznie zamknęła zmywarę, że aż się zachwiała.

Odruchowo wyciągnął ramiona, by ją podtrzymać, a wówczas kontakt z jej kobiecą kruchością podziałał na niego jak rażenie gromem. Wzrok mu pociemniał, gdy z jej warg wyrwało się ciche westchnienie:

– Och...

Oboje wiedzieli, o czym pomyślała draga strona.

– Maxi?

– O tak... – Przypomniały się jej wszystkie wymarzone scenariusze takiej chwili. Pod naporem emocji czuła, że kolana się pod nią uginają.

Jej zachwyty sięgnął zenitu, gdy Jake musnął wargami jej usta, by po chwili całować ją tak namiętnie, jakby się zbliżał koniec świata. Czekala tak długo...

Jak to możliwe, że tego nie przewidział? Obejmując ją coraz mocniej, zdał sobie sprawę, jak bardzo tęsknił do smaku jej warg, ciepła jej ciała i miarowego, przyspieszonego rytmu jej serca. Wzbierające pożądanie z sekundy na sekundę stawało się erotyczną torturą. Nie mógł uwierzyć, że znowu trzyma ją w ramionach, że delektuje się jej ustami i że nadal tak na nią reaguje.

Jak dwa lata temu.

Ale teraz jest inaczej. Porażony tą myślą, gwałtownie uniósł głowę, z trudem chwytając oddech.

Co teraz? Dostrzegła zwątpienie w jego oczach. Już żałuje tego pocałunku? Ale ona mu na to nie pozwoli. W kilka sekund pokonali dzielące ich tysiące kilometrów. Ona nie zamierza wracać do punktu wyjścia. Ale musi za wszelką cenę to zbagatelizować. To ją zabije, ale nie ma wyjścia.

– Jake, to tylko pocałunek – wykrztusiła.

– Taak? – Ona naprawdę tak uważa? Nie był przygotowany na takie rozczarowanie. Przechylił głowę i rzekł zmienionym głosem: – Maxi, żadne z nas w to nie wierzy. Nie oszukujmy się.

– Okej. – Odsunęła się i oparła o blat kuchenny. –Więc się nie oszukujmy. Załóżmy, że nic się nie zmieniło.

Akurat. Jak powinien zareagować? Odesłać ją do domu, zanim przysporzą sobie nowych cierpień? Wykrzywił wargi w drwiącym grymasie. Miałby wtedy przynajmniej szansę na powrót do pewnej normalności.

– Uważasz, że nie ma po co tego analizować? Starła się myśleć racjonalnie.

– Stało się i już się nie odstanie. Więc zajmijmy się swoimi sprawami i...

– Udawajmy, że tego nie było? Niewiele ma to wspólnego ze szczerością.

Parsknęła teatralnym śmiechem.

– I ty to mówisz, Jacob?! Unikasz szczerości, od kiedy postawiłam stopę w twojej przychodni.

– Masz rację.

– Więc co dalej? – nalegała. – Zdobędziemy się na szczerość?

– Okej, bądźmy szczerzy. Ty pierwsza. Dlaczego tu przyjechałaś?

– Już ci mówiłam.

– Bo zapragnęłaś zobaczyć, jak mi idzie, jakbyśmy nigdy nie byli dla siebie czymś więcej niż przyjaciółmi. Nie ze mną te numery.

Czuła, że traci cierpliwość. Przecież mu nie powie, że ciągle go kocha, że przyjechała, by się dowiedzieć, czy mają jeszcze szansę...

– Oszczędźmy sobie przykrości – rzuciła ostrym tonem. – Naprawdę chcesz, żebym wyjechała?

– Jeśli mam być szczery... – zaczął wojowniczo, ale niespodziewanie zmiękł. – Nie, nie chcę.

– O... – Odczuła taką ulgę, że mało się nie rozpląkała. – Kiedy zmieniłeś zdanie?

– Przemyślałem to sobie. – Nagle zdał sobie sprawę, że jest to prawda. – Całe miasto już huczy o tobie. A kobieta lekarka to dla tutejszych kobiet jak wygrana na loterii. – Uśmiechnął się półgębkiem. – A ja wiem, że jesteś świetnym lekarzem, więc choćby tylko dlatego byłbym szaleńcem, gdybym cię tu nie zatrzymał.

Nie dlatego, że ją kocha? Tak należy rozumieć jego słowa? Ale dla niej nie ma już odwrotu. Zgodził się, by została, więc pokonała największą przeszkodę, prawda?

– Wobec tego ruszajmy do szpitala, żebym mogła zapracować na swoje wynagrodzenie.

– Weźmiemy mój samochód – podjął rażno ten wątek. – Bo możliwe, że będę musiał odwiedzić państwa Hawthorne'ów. Nasza jedyna karetka akurat dzisiaj jest w warsztacie na przeglądzie.

– Jak ty nad tym wszystkim panujesz? – zapytała, gdy szli do garażu.

Sprawiała wrażenie zdezorientowanej, więc tym bardziej nie wolno mu zapominać, że czeka ją niezła szkoła, bo uprawianie medycyny w buszu to nie to samo, do czego przywykła.

– O wszystkim na bieżąco informuje mnie Ayleen. To dzięki niej wiem, co się dzieje. Wsiadaj.

– Mnie też będzie informowała?

– Oczywiście. – Wyjechał z garażu. – Jesteś teraz częścią przychodni. Chcesz, żebym ci opowiedział o członkach personelu szpitala?

– Jasne.

– Lorette już poznałaś. Mamy też kilka asystentek, które pracują na dyżurze jako druga osoba, i dwie dyplomowane pielęgniarki. David i Bron wspólnie kierują zespołem pielęgniarskim. Zawodowo są niezrównani, a do tego są moimi zaufanymi przyjaciółmi.

– To chyba duża sprawa na takim odludziu.

– Niewątpliwie.

– Mają dzieci?

– Tak, piętnastoletnią córkę Katie, która teraz jest w internacie, bo jest w liceum.

– Większość rodziców wysyła stąd dzieci na naukę do miasta?

– Niekoniecznie. – Wzruszył ramionami. – Mamy tu liceum, ale w mieście jest większy wybór szkół na różnych poziomach. Ten wybór oraz wachlarz zajęć pozalekcyjnych bardzo przemawia do rodziców, zwłaszcza gdy sami uczęszczali do szkół z internatem. Ale to, oczywiście, kosztuje. Ostatnio sporo dzieciaków wróciło, bo z powodu suszy sytuacja materialna rodzin bardzo się pogorszyła.

Stres dotyka również dzieci, pomyślała ze smutkiem. Jednocześnie zrozumiała, co Jake miał na myśli, mówiąc kiedyś o efekcie domina.

– Jako jedyny lekarz w okolicy pewnie masz wrażenie, że cały ten ciężar spada na twoje barki.

– Dzięki Bogu, bary mam szerokie. Splotła dłonie na kolanach.

– Jacob, stanę na głowie, żeby ci pomóc.

– Na to Uczę. – Wjechał na parking przed szpitalem.

– Czy zgodnie z naszą nową umową w dalszym ciągu jestem tu jako lekarz wizytujący? – zapytała.

Wzruszył ramionami, usilnie starając się nie myśleć o jej kuszących wargach.

– Czy to ważne? Chodzi o to, żebyśmy ci godziwie zapłacili.

– Możliwe...

– Maxi, nie ma problemu. – Otworzył jej drzwi. – Ludzie w Tangaratcie będą szczęśliwi, że mają drugiego lekarza. Mało ich interesuje jego formalna funkcja czy status, więc wyluzuj, dobra?

David i Bron zastali przy stanowisku pielęgniarek. Jake przedstawił ich Maxi, po czym poinformował, że przez jakiś czas będzie mu pomagała w pracy.

– Witam – rzekła Bron. – Już słyszeliśmy o pani.

– I z tego, co do nas dotarło, wiemy, że doktor już panią wykorzystuje. – David serdecznie uścisnął jej dłoń, mierząc ją spojrzeniem niebieskich oczu zza okularów w drucianej oprawie. – Przyjechała pani z bardzo daleka.

– Owszem, ale proszę do mnie mówić Maxi. – Rozczuliło ją to serdeczne powitanie. – Odkąd tu jestem, otacza mnie wyjątkowo przyjacielska atmosfera. Hm, wiem od Jake'a, że wasza córka jest w szkole z internatem.

Bron smutno pokiwała głową.

– Tak. Ale otrzymała stypendium na naukę w Sydney, więc nie mogliśmy jej tu na siłę zatrzymać.

Jake oparł się o biurko.

– Ale przyjedzie na ferie?

– Tylko na tydzień – mówił David. – Bo na resztę ferii zaprosiła ją koleżanka z klasy. Ta dziewczynka mieszka tuż przy plaży, więc się zgodziliśmy, bo ostatnimi czasy Tangaratta nie może konkurować z plażą Bondi.

– Ale jak przyjedzie do nas, postaramy się uatrakcyjnić jej pobyt w domu rodzinnym – dodała Bron. – Na przykład zrobimy wielki piknik. Zapraszamy was, przyjdziecie?

Maxi instynktownie zerknęła na Jake'a.

– Dziękuję.

– Pod warunkiem że nie wydarzy się jakiś ponury wypadek – odparł Jake dyplomatycznie. – Teraz, jak pozwolicie, zbadam państwa Hawthorne'ów. David podał mu karty pacjentów.

– Nasz pielęgniarz Brian zabawił się w detektywa i osiągnął pewien sukces. Wyciągnął od nich, że wczoraj sami przygotowali sobie lunch, więc podejrzewa, że podtruli się kurczakiem z supermarketu. Był mocno przeterminowany.

– O, biedactwa. – Maxi współczującym gestem położyła dłoń na brzuchu.
– Ale sprawa już zakończona?

– Chyba tak. Poprosiliśmy kogoś z obsługi domu starców, żeby przejrzał zawartość ich lodówki, ale nie znaleziono nic podejrzanego.

– Zajrzę do nich. – Jake oddał Davidowi karty. – Jeśli czują się dobrze, to ich odwożę.

– A ja, jeśli można, wpadnę do Karryn. – Maxi uśmiechnęła się pytająco.

– Pójdę z tobą – zaproponowała Bron. – Chcę zobaczyć, jak wygląda taki masaż, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Zdecydowanie nic przeciwko temu nie mam.

– Aha... Karryn dostała wielki kosz podarków od koła gospodyń. Nie posiada się z radości.

Liz stanęła na wysokości zadania, pomyślała z zadowoleniem Maxi, podążając za pielęgniarką.

Patrząc za oddalającymi się kobietami, David zwrócił się do Jake'a:

– To chyba wielka ulga, stary, mieć taką Maxi.

– Hm, owszem... – Poczul, że serce mocniej mu bije. – Pracowaliśmy razem w Anglii.

– W całym twoim rejonie aż huczy od domysłów – rzucił David tonem od niechcenia.

Jake powstrzymał się, by nie westchnąć.

– Wiadomo, tutaj każda nowość budzi sensację.

Tak, tak. David spojrzał na niego wymownie. Albo coś ich łączy, albo on nic nie wie o życiu. Postanowił przyspieszyć bieg sprawy.

– W szpitalu nic się nie dzieje, więc mógłbyś pokazać Maxi okolicę. Mimo suszy nad Wonga Springs jest całkiem ładne miejsce na piknik.

Jake spojrzał na zegarek. Nie wiedział, co myśleć o propozycji przyjaciela. Ale z drugiej strony nie wypada zostawiać Maxi samej sobie w nowym miejscu. W pewnym sensie wziął na siebie odpowiedzialność za to, żeby dobrze się tu czuła.

Jego wahanie zachęciło Davida.

– To tylko trzydzieści minut stąd – przekonywał. – Gdyby coś się stało, to masz przy sobie komórkę. Kiedy miałeś wolny dzień? A nawet pół?

Co robić? Z jednej strony wizja pikniku z Maxi wydała mu się bardzo kusząca, z drugiej zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo są napięte ich stosunki. Taki piknik we dwoje na kompletnym odludziu mógłby doprowadzić do nowych komplikacji, a na to nie był przygotowany.

– Zabierz coś do jedzenia i w drogę. – David kuł żelazo, póki gorące. – Ja odwożę staruszków, jak nie będziesz miał do nich żadnych zastrzeżeń. Nie jestem teraz na dyżurze, przyjechałem tylko sprawdzić stan magazynu.

– Dobra, dobra. – Jake uniósł ręce w pojednawczym geście. – Przekonałeś mnie. Miejmy nadzieję, że staruszkowie są w dobrym stanie.

– Bron dała mi do zrozumienia, że to coś nadzwyczajnego, że... zgodziłeś się zejść z posterunku. – Maxi roześmiała się, wsiadając do samochodu.

– Jak zwykle przesadziła – mruknął, włączając silnik. – Nie afiszuję się z tym, co robię po godzinach, i tyle.

Ta uwaga wytrąciła ją z równowagi. O matko... Nagle przyszło jej do głowy, że może on ma dziewczynę, o której nie wiedzą miejscowi? Poczowała się niezręcznie.

– Kto wymyślił ten piknik? – zapytała ostrożnie.

– David. Czy to ważne?

– Chyba tak. Bo jeśli czujesz się zmuszony... zabawiać mnie, zamiast spotkać się... zamiast robić coś innego...

Rzucił jej drwiące spojrzenie.

– Maxi, nie kombinuj. Masz coś przeciwko piknikowi? Należy ci się wycieczka po okolicy. Gdyby nie ty, nigdy bym nie zwiedził tylu ciekawych miejsc w Anglii.

– Pewnie tak – przyznała nieco uspokoiona.

– Skoro przy tym jesteśmy, nigdy nie oddalaj się w busz, nie informując nikogo, dokąd się wybierasz. Jasne?

– Jacob, nie jestem głupia – obruszyła się. – Zdaję sobie sprawę, jak bezkresna to jest kraina.

Mimo to beztriosko puściła się w samotną niebezpieczną podróż z Sydney. Żeby go odszukać. A on przyjął ją jak najgorzej. Zrobiło mu się głupio.

– Maxi, przepraszam.

– Za co? – Ściągnęła brwi.

– Choćby za brak manier. Chciałbym, żebyś jak najwięcej skorzystała z pobytu tutaj.

Tego nie oczekiwała. Zrobiło się jej ciepło kolo serca, gdy ujął jej dłoń i podniósł do warg.

– Wybaczysz mi?

– Na razie cieszymy się perspektywą pikniku – odrzekła.

Znowu milczenie. Maxi przez ten czas podziwiała głębokie, nasycone kolory krajobrazu.

– Mimo suszy busz jest bardzo malowniczy – zauważyła.

– To prawda. – Zerknął na nią. – Czujesz ten spokój?

– Przyzwyczajam się do tego, zwłaszcza w nocy. Są tu wilki?

– Słucham? – Parsknął. – Kto ci naopowiadał takich głupot? Jakiś angielski turysta?

Pokazała mu język.

– To co tak wyje w nocy?

– Dingo. Australijskie dzikie psy. Takie płowe... I bardzo płochliwe.

– Nie wierzę, że płochliwe. Wyły pod samym oknem.

– Raczej nie – rzekł poważnie. – Podchodzą do miasta, bo z powodu suszy kurczą się źródła ich pokarmu.

– Czym one się żywią? – zapytała podejrzliwie.

– To drapieżniki. Normalnie polują na mniejsze zwierzęta, ale czasami matka natura sprawia, że ten drobiazg się wyprowadza w poszukiwaniu

lepszyc warunków. I wtedy dingo zaczynają polować na większą zdobycz, na przykład na jagnięta. Ale tutaj nie ma hodowli owiec, więc watahy dingo w poszukiwaniu jedzenia podchodzą bliżej cywilizacji.

– Jak blisko? – Wzdrygnęła się.

– Nie bój się. – Zwolnił, gdy przed nimi pojawiła się linia zielonych drzew. – Rangersi tym się zajmą.

– Mam nadzieję – mruknęła bez większego przekonania. – To tam jedziemy na piknik?

– Uhm. – Skreślił w boczną drogę. – Jest tam jeszcze niewyschnięty strumień, zielona trawa i nawet jezioro, w którym można się kąpać. Spojrzała na niego z wyrzutem.

– Nie mam kostiumu. A ty masz?

W odpowiedzi tylko uśmiechnął się łobuzersko, zatrzymał samochód i zaciągnął hamulec.

Patrzyła na niego z bijącym sercem. Chyba nie miał na myśli kąpieli na golasa? To prawda, że nie było tam żywej duszy, ale nie była na to przygotowana!

– Trudno o lepsze miejsce – rzucił, wyskakując z auta, a chwilę później już rozkładał pled.

– Pomóc ci?

– Wyciągnij lodówkę. I papierową torbę z bułkami.

Przyklękła na kocu, by zajrzeć do lodówki.

– Ojej, jakie pyszności. Konam z głodu. Wyjąć to?

– Maxi, jeszcze nie teraz. Daj mi się wykapać. – Przeciągnął się, nabierając powietrza w płuca. – Czujesz, jak pachną eukaliptusy?

Wstała i za jego przykładem zaciągnęła się orzeźwiającym powietrzem.

– Nie wiem, czy to eukaliptus, ale pachnie ładnie.

– Ach, Maxi. – Podszedł bliżej i położył jej dłonie na ramionach. – Dyplomatka z ciebie. Niczego nie poczułaś.

– Właśnie, że poczułam. Tak pachnie busz. Roześmiał się.

– Nic mi to nie mówi. Chodź. – Poprowadził ją na brzeg jeziora. – Widzisz te czerwone kwiaty podobne do szczotki do butelek zwisające nad wodą? To kalistemon. Ptaki wypijają z nich nektar. A tam dalej stoją eukaliptusy.

Wysoko zadarła głowę, wiodąc spojrzeniem po prostych, prawie białych pniach, niemal sięgających nieba.

– Tak wygląda eukaliptus?

– Czy jak byłaś w Sydney, wybrałaś się w Góry Błękitne?

– Nie. – Pokręciła głową. – Ale twoja mama o nich wspomniała. Powiedziała, że każdy turysta powinien je zobaczyć. Naprawdę są niebieskie?

– Tak. Źródłem tej niebieskości jest załamanie światła w oparach olejku z liści eukaliptusów. Chodź. – Pociągnął ją za rękę. – Z pnia wyrastają nowe listki. Jak się je rozetrze w palcach, zapach będzie bardziej wyrazisty. – Uszczknął kilka bladozielonych listków i podsunął jej pod nos.

Powąchała je posłusznie.

– O, tak! Pięknie. Ostry, ale...

– Zdałaś. – Niespodziewanie puścił jej dłoń. – No, teraz się wykąpię. – Rozebrał się błyskawicznie do czarnych bokserów. Na koniec zdjął zegarek i rzucił go na wierzch ubrań. – Popływamy razem?

– Nie dzisiaj – odparła lekko zduszonym głosem, hamując się, by nie powieść dłońmi po jego ramionach i torsie. Jego ciało wydało się jej tak samo piękne jak dawniej: umięśnione, opalone. Kiedyś należało tylko do niej. – Hm, pobrodzę sobie. – Zsunęła buty.

– Tu jest za głęboko, ale tam masz powalone drzewo, na którym możesz siedzieć i machać nogami.

– O, faktycznie. – Szła za nim brzegiem jeziora. – Często tu przyjeżdżasz?

– Na początku bywałem tu często. Teraz nie mam czasu. – Gdy usiadła na pniu, rzucił: – Uważaj, żebyś nie wpadła do wody. – Zsunął się z brzegu i popłynął.

– Piękne popołudnie – westchnęła.

Gdy zjedli bułki z szynką i pomidorami, przyszedł czas na herbatniki z czekoladą i kawę z termosu.

– Dziękuję, Jacob.

Nie zwrócił uwagi na te słowa, bo zajęty był własnymi myślami. Z jednej strony chciał zapomnieć o czujności, pozwolić Maxi ponownie zaistnieć w jego życiu, z drugiej jednak intuicja podpowiadała mu daleko idącą ostrożność. Czy wtedy nie osądził jej zbyt surowo? Był wówczas przekonany, że jej na nim nie zależy, przynajmniej tak bardzo jak jemu na niej. Być może był to z jego strony przejaw arogancji. Być może...

– Pora wracać. – Wstał i podał jej rękę. – Udany dzień? – zapytał, wierzchem dłoni delikatnie gładząc ją po policzku.

Przytaknęła, bo nagle zaschło jej w ustach. Czas zwolnił, a w powietrzu zapanowała aura wyczekiwania. Przeszył ją lekki dreszczyk.

Jaka ona piękna, pomyślał. Mógłby całować ją raz za razem. Ale pocałunki niczego by nie załatwiły. Jedynie przedłużyłyby niepewność, dokąd zmierzają. Jeśli faktycznie mają jakiś cel. Z westchnieniem opuścił ramię.

– Zaraz zrobi się ciemno. Ruszajmy.

– Przyjedziemy tu jeszcze kiedyś?

– Tak. – Powiódł palcem po jej szyi aż do brzegu topu. –I być może wtedy wejdiesz ze mną do wody.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W piątek, dwa tygodnie później, poczekalnia pękała w szwach. Spiesząc do pokoju Jake'a, Maxi zdawkowym uśmiechem witała pacjentów. Wiedziała, że Jake ma wolną chwilę, więc zapukała i weszła do środka.

– Poświęcisz mi minutkę?

– Tak, siadaj.

– Nie mogę. Potrzebuję twojej rady. – Czekał, spoglądając na nią. – Przyszło mi do głowy, że w tym środowisku może mi się trafić przypadek ukąszenia przez węża. Jakie są najnowsze metody postępowania w takich razach?

– To wymaga dłuższego wyjaśnienia. Usiądź, to porozmawiamy. Nie mogę ciągle tak wyciągać szyi, żeby na ciebie patrzeć – dodał lekko zniecierpliwionym tonem.

Wzniosła wzrok do nieba, po czym posłusznie usiadła.

– Jeśli jeszcze nie masz – powiedział – to koniecznie włóż do swojej torby szeroki bandaż.

– Sprawdzę, ale chyba nie mam.

– Poproś o niego w szpitalu. Ukąszenia zazwyczaj występują na kończynach, więc trzeba zabandażować całą kończynę od krocza po palce u stóp, albo od pachy po końce palców.

– A jak nie ma bandaża, to mogą być pasy udarte z ubrania?

– Mogą być i rajstopy. Chodzi o to, żeby unieruchomić kończynę. Ale nie przemywaj rany, bo jad posłuży do identyfikacji gatunku węża.

Mimo że już się zadomowiła w Tangaratcie i znalazła dla siebie niszę zawodową, nie kryła, że pewne aspekty pracy w buszu ją przerażają.

– Miałeś już takie przypadki?

– Owszem, kilka. W szpitalu mamy spory zapas surowic, więc zazwyczaj po kilku dniach w szpitalu pacjent zdrowieje. Ale kiedy nie zareaguje odpowiednio szybko, wysyłamy go wówczas śmigłowcem, do specjalistów w mieście.

– Dzięki. – Wstała. – Ayleen ostrzegła mnie, że lista jest pełna. – Uśmiechnęła się. – Zanosi się na pracowity dzień.

Poczuł ukłucie w sercu. Kurczę, ona promienieje na myśl o kontakcie z pacjentami, pomyślał.

– Pamiętasz, że dzisiaj jest piątek? – przypomniał jej, stając tuż obok.

– Koszmarne babeczki? – zapytała teatralnym szeptem.

Zrobił gest, jakby podcinał sobie gardło.

– Doktorze, niech się pan przygotuje na ucztę – rzuciła z błyskiem w oku.

– Przyniosłam bułeczki czekoladowe.

– Jak to zrobiłaś?! – zdumiał się. Przyłożyła palec do warg.

– Powiedziałam Ayleen, że tęsknię za wypiekami mojej mamy i że chciałabym coś upiec według jej przepisu. Ayleen jest strasznie poczciwa. Nalegała, żebym na zawsze przejęła piątkowe herbatki.

– Alleluja!

– Upiekłam je rano, jak wyjechałeś do pacjenta. Odetchnął głębiej, żeby zapanować nad erupcją hormonów. Boże, jaka ona piękna. I pełna życia. Jej obecność jest jak powiew świeżego powietrza.

– Rozumiem, że jesteś zadowolona.

Jeśli chodziło mu o to, że podoba się jej żywot w tej prowincjonalnej społeczności, że może uprawiać swój zawód tam, gdzie jest on najbardziej potrzebny, to tak, jest bardzo zadowolona. Co więcej, ich stosunki układały się poprawnie, potrafili się komunikować, wprawdzie nie tak otwarcie, jak by sobie życzyła, ale jego początkowy dystans już się zmniejszył. I to ją cieszyło.

Powoli odbudowywali dawną więź, cegielka po cegielce. Tym razem miała nadzieję, że ta więź przejdzie próbę czasu... Wysoko uniosła głowę.

– Uważałeś, że nie będę tu pasowała?

– Nie... – Odgarnął kosmyk włosów z jej policzka. – Nie, ani przez chwilę tak nie myślałem.

Krew zawrzała jej w żyłach, pobudzając w niej wrażliwość na jego siłę, jego zapach, zarys ramion. Kaszlnęła.

– Pacjenci czekają...

– Hm, szkoda. – Bez uprzedzenia musnął wargami jej usta, szepcząc: – Zmykaj.

Na miękkich nogach podeszła do drzwi.

– Maxi...

– Słucham.

– Już zawczasu dziękuję za bułeczki.

Przytaknęła, po czym jak spłoszona sarna przemknęła do swojego gabinetu.

Pierwszy jej pacjent nazywał się Brandon McCall. Zanim go poprosiła, postanowiła zapoznać się z jego kartą. Kobieto, skup się, szepnęła, masując sobie skronie.

Z karty dowiedziała się, że pół roku wcześniej siedemnastolatek jechał konno, koń przestraszył się węża i wyrzucił go z siodła. Z notatek wynikało, że upadając, chłopak nadział się na gałąź, uszkadzając sobie płuco.

Pokręciła głową i czytała dalej. Brandona przetransportowano śmigłowcem do Sydney, gdzie chirurgicznie usunięto gałąź. Teraz chłopak był już w domu i podobno dochodził do zdrowia. Komplikacje? Podeszła do drzwi, żeby go poprosić.

– Siadaj, Brandon. Jak mogę ci pomóc? Chłopak, skrepowany, przysiadł na brzeżku krzesła.

– Hm, mama powiedziała, żebym porozmawiał z doktorem Haslemem.

– Doktor Haslem ma dzisiaj mnóstwo pacjentów. Może ja mogę go zastąpić?

Zaczerwienił się.

– Chyba tak.

Cisza. W ten sposób daleko nie zajdziemy, pomyślała. Może to męska powściągliwość, ale chyba chodzi o coś innego. No, ale ona nie ma dla niego całego dnia.

– Na początek cię zbadam, dobrze? Czytałam twoją kartę – ciągnęła, zakładając mu mankiet ciśnieniomierza. – Miałeś poważny wypadek.

Wzruszył ramionami.

– W szpitalu wszyscy mówili, że mogłem umrzeć.

Ściągnęła brwi. Jak można tak nieodpowiedzialnie rozmawiać z pacjentem? No, może podsłuchał jakąś wymianę zdań. Ale to i tak zbyt szokująca informacja.

– Śpisz dobrze? – zapytała, odwijając mankiet.

Spuścił wzrok.

– Nie bardzo.

– A w szpitalu jak spałeś?

– Marnie, bo facet na sąsiednim łóżku tak chrapał, jakby chciał się dostać do księgi rekordów.

Uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

– A teraz, jak jesteś w domu? Jest jakaś przyczyna, która spędza ci sen z powiek?

– Ciągle mam to przed oczami...

– Ten wypadek?

Przytaknął wyraźnie speszony.

Nie posłali go na terapię? Zerknęła do karty. Ani wzmianki. Stres pourazowy? Wiedziała, że to się zdarza po ataku rekina, nawet po ugryzieniu przez psa. Przygryzła wargi. Więc to ona musi go sprowokować do mówienia.

– Jak to się stało, to długo czekałeś na pomoc?

– Trochę. – Wyraźnie się ożywił. – Powlokłem się do domu Berwicków. Ich farma sąsiaduje z naszą. Do nich było bliżej niż do nas.

– Słusznie. Dziwi mnie, że nie straciłeś przytomności. Wzruszył ramionami.

– Nie mogłem, ale ledwie oddychałem i ledwie mówiłem. – Na jego twarzy pojawił się grymas uśmiechu. – Pani B. się przeraziła, jak mnie zobaczyła.

– Wyobrażam sobie. Krwawiłeś?

– Nie. Ratownik ze śmigłowca powiedział, że gałąź wepchnęła materiał koszuli tak głęboko, że...

– Że zatamował krwawienie? – Była pełna podziwu dla zimnej krwi chłopaka. – Niesamowite.

– Przyjechał doktor Haslem i razem ze mną czekał na śmigłowiec. Zabrali mnie od razu do Sydney.

– Poza problemami ze spaniem czujesz się dobrze?

– Nie mam ochoty dosiadać tego durnego konia. To zrozumiałe. Przechyliła głowę.

– Wydawało mi się, że tutaj wszyscy chłopcy jeżdżą na motorach.

– Od czasu do czasu. – Chyba znowu zaczął się zamykać. – Mama nie lubi motocykli. Chce pani obejrzeć moje blizny? – Nie czekając na jej

odpowieź, niemal z dumą uniósł koszulę, by zobaczyła dwie szramy, jedną łukowatą pod prawą piersią, drugą, poziomą, nieco niżej.

– Ładna robota – zauważyła.

– Noo. Doktor w Sydney powiedział, że gałąź wbiła mi się na siedemnaście centymetrów.

– Ojej! – Odsunęła się. – Przyznam, że imponuje mi twoja zimna krew. Ja chyba bym się na to nie zdobyła.

– Bo pani jest kobietą. – Dumnie wypiął pierś, wsuwając koszulę pod pasek.

– O nie, kobiety też potrafią być dzielne – zaprotestowała ze śmiechem. – Brandon, masz dziewczynę?

– Hm... mam. – Zaczerwienił się. – Rzadko ją widuję, bo wyjechała do szkoły.

Ale wkrótce przyjdą ferie, więc w towarzystwie rówieśników chłopak powinien szybko odzyskać równowagę. Zwłaszcza w towarzystwie dziewczyny.

– Zaczekaj, zaraz do ciebie wrócę. Muszę coś przynieść. – Wyszła z pokoju.

Wróciła z niewielką plastikową buteleczką, którą podała pacjentowi.

– To są łagodne proszki nasenne, razem siedem, po jednej na każdą noc. Mam nadzieję, że pomogą ci wrócić do normalnego rytmu. Ale chcę cię obejrzeć za tydzień. Wychodząc teraz, poproś recepcjonistkę, żeby cię zapisała. Aha, i poinformujemy o tym twoją mamę, okej?

Pochmurniejąc, chłopak spojrzał na buteleczkę.

– Nie zrobię nic głupiego.

– Wiem. Ale to mama cię tu wysłała, więc na pewno chciałyby się dowiedzieć, co lekarz powiedział, żeby pomóc ci w trudnych chwilach. Myślę, że twoja mama jest podobna do mojej.

Brandon odpowiedział uśmiechem.

– Nie ma problemu. Prochy nie będą mi długo potrzebne – odparł hardo.

– Też tak myślę. – Wstała, żeby go odprowadzić do drzwi. – Za tydzień powiesz mi, czy pomogły.

Gdy kończyła rozmawiać przez telefon z matką Brandona, do gabinetu wszedł Jake.

– Widziałem, jak wychodził młody McCall – rzeki, siadając i splatając ramiona na piersi. – Co jest grane?

– Jak to?

– Brandon powinien się znaleźć na liście moich pacjentów.

Nagle poczuła się wręcz przytłoczona jego dezaprobatą. Jake uważa, że nie wolno jej leczyć tego pacjenta?

– Przyszedł bez zapisu. Wyglądał na spłoszonego, więc podejrzewając, że może się wymknąć, Ayleen poprosiła mnie, żebym przyjęła go poza kolejką. I to zrobiłam.

– Ale to ja znam jego historię i to ja powinienem go przyjąć.

– Uprzedziłeś Ayleen, że twoja konsultacja będzie się przedłużała i prosiłeś, żeby nikt ci nie przeszkadzał – broniła się. – Ayleen postąpiła zgodnie z twoją instrukcją.

– Powinna była pamiętać, że to mój pacjent.

– Jacob, o co ci chodzi? Skoro jesteś taki nadopiekuńczy wobec pacjentów, to dlaczego w ogóle zgodziłeś się dopuścić mnie do przychodni?!

Zacisnął zęby. Zaczynał powątpiewać, czy faktycznie jest zdrowy na umyśle.

– Jego sytuacja rodzinna jest wyjątkowo złożona –odezwał się po chwili.
– Ty jej nie znasz. Chodzi mi wyłącznie o to.
– Dokładnie zaznajomiłam się z jego kartą. Dzisiaj miał ochotę z kimś porozmawiać, więc mu to umożliwiłam. W trakcie rozmowy wyszło, że ma problemy ze snaniem. Dałam mu łagodny środek nasenny...

– Ile? – warknął.

– Siedem tabletek, po jednej dziennie, i kazałam zgłosić się za tydzień.

– Wbiłaś mu do głowy, że tylko jedna dziennie?

– Oczywiście! – syknęła. – Jacob, o co ci chodzi?!

– Jego ojciec jest tym samobójcą, o którym ci opowiadałem.

O Boże... Teraz różne zachowania młodego pacjenta stały się dla niej jasne. Jego uwaga, że matka nie lubi motocykli, jego pociemniały wzrok, gdy wręczyła mu buteleczkę z tabletkami nasennymi oraz obietnica, że nie zrobi nic głupiego.

– Nie wyczułam u niego żadnych podejrzanych emocji. Jak na nastolatka wydał mi się wyjątkowo stabilny. Nawet pochwalił się bliznami. – Nieudolnie próbowała ratować atmosferę. Dobra, skoro Jake życzy sobie rozmowy na płaszczyźnie zawodowej, niech tak będzie. –Mimo to, moim zdaniem, wykazuje szczątkowe objawy stresu pourazowego. Dziwi mnie, że szpital nie zagwarantował mu psychologa.

Jake gniewnie ściągnął brwi. Nie podobają się jej szpitale w Australii?

– Wiem, że na pewno rozmawiał w psychologiem.

– W karcie nie było takiej informacji.

– I dlatego powinnaś była skonsultować się ze mną, zamiast snuć domysły. Masz dowód na to, że to ja powinienem był go przyjąć.

Czerwone płaty zawirowały jej przed oczami. Bezczelny drań. Na kogo on się zgrywa?! Na pedantycznego urzędasza. Udziela jej nagany, jakby złamała

jakaś żelazną zasadę, przyjmując jego pacjenta. Pod wpływem chwili cisnęła na biurko długopisem tak, że spadł na ziemię, i zerwała się z fotela.

– Trzeba było powiedzieć, że warunkiem pracy w tej przychodni jest posiadanie daru jasnowidzenia.

Zaskoczony tym wybuchem, podniósł długopis i starannie położył go obok jej receptariusza.

Nie odrywając od niego wzroku, kręciła głową. Miała ochotę wrzeszczeć i rzucić na niego wszystko, co miała na biurku. Zamiast tego jednak, ciężko oddychając, podeszła do okna. Cały jej wysiłek, by go odnaleźć, poszedł na marne. Jeśli nie potrafią zgodnie pracować, to czy to ma jakikolwiek sens?

Siedział bez ruchu. Zachował się, jak cwaniaczek z marnego filmu. Niech to szlag... Co się z nim dzieje? Maxi odejdzie, jeśli on nie zacznie normalnie się zachowywać.

Czuł ucisk w gardle. Za swój podły nastrój obwiniął ten beznadziejny układ między nimi, nie, wszystko. Co z tego, że mieszkają razem, skoro nic ich nie łączy. Ma ją blisko, ale chciałby mieć ją jeszcze bliżej. Koszmarne tortury. Każdego dnia od bladego świtu Maxi rozsiewa blask, pachnie jak egzotyczne kwiaty, które wszędzie poustawiała w wazonach, po prostu kocha życie.

Gdyby jeszcze kochała jego...

Noc w noc, kiedy nie mógł zmrużyć oka, przysięgał sobie, że z nią porozmawia poważnie, że spróbuje naprawić to, co popsuli. I na przykład wyjaśnić, dlaczego tak dużo czasu zajęła jej decyzja, żeby go odszukać.

Ale właściwie to dlaczego on nie schował dumy w kieszeń i nie wrócił do niej, do Anglii? Mógł to zrobić. Miał pieniądze. Kurczę, on zawsze miał pieniądze na wszystko, czego zapragnie. Ale za pieniądze szczęścia się nie kupi.

Tego nauczyło go życie.

Potarł twarz. Roztrząsanie przeszłości niczego nie rozwiąże. Zerwał się z krzesła i podszedł do okna.

– Hm, w kwestii Brandona... – Głos drżał mu nieznacznie. – Zareagowałem przesadnie ostro. Zrobiłaś wszystko, co należało. Dziękuję.

– Jacob, nie rób mi tego. – Udawała, że jest bardziej spokojna, niż było w rzeczywistości. – Nie dam się ganić za coś, co stało się nie z mojej winy, jasne?

– Jak słońce.

Dopiero gdy zamknęły się za nim drzwi, zorientowała się, że paznokcie wbijają się jej w kurczowo zaciśnięte dłonie. Do bólu, ale ten ból nijak się nie miał do tego, co działo się w jej sercu. Opadła na fotel i przymknęła powieki. Oddychając głęboko, starała się odprężyć. Czekając na długą listę spraw do załatwienia.

Następny pacjent miał trzy lata i nazywał się Harrison Pender.

– Co się dzieje? – zapytała matkę.

– Mówi, że bolą go uszy. – Kobieta pogładziła chłopczyka po głowie.

– Nie ma apetytu? Matka przytaknęła.

– I puszcza bańki w mleku, a zawsze ładnie pił. Patrzyłam, czy ma wysypkę, ale nie ma. Co mu jest?

– Zbadam go, może czegoś się dowiemy.

– Położyć go?

– Nie, może siedzieć u pani na kolanach. – W trakcie badania w myślach notowała objawy. Podwyższona temperatura, zaczerwienione gardło, rozdrażnienie. – Wcześniej miał problemy z uszami?

– Tak, w zeszłym roku. Byliśmy wtedy u moich rodziców. Doktor w szpitalnej przychodni zapisał mu antybiotyk. Pomogło. Cicho, Harry, cicho – uspokajała kapryszącego malca.

– Skończone – oznajmiła Maxi, odkładając słuchawki i myjąc ręce. Potem sięgnęła po książeczkę z obrazkami. – Harrison, lubisz zwierzątka? – Pulchna rączka wyciągnęła się po książeczkę.

– Tygłys.

– Tak, to tygrys – ucieszyła się Maxi.

Słodki chłopaczek, pomyślała z nutą tęsknoty. Dzieci są bezcenne. Cudownie byłoby założyć rodzinę. Ale z mężczyzną, który potrafi kochać.

– Co to jest, pani doktor? – Pytanie Christy sprowadziło ją na ziemię.

– Moim zdaniem zapalenie ucha środkowego.

– To samo co poprzednio – zmartwiła się młoda matka. – To będzie się powtarzało?

– Niewykluczone. Ale na szczęście błona bębenkowa wygląda na nieuszkodzoną.

– Ona może się uszkodzić?

– W ostrych stanach może pęknąć. Ale Harrisonowi to nie grozi, bo w porę go tu pani przyprowadziła. Przepiszę mu antybiotyki i za dwie doby chciałabym go znowu zbadać.

– A jak nie będzie poprawy?

– Będziemy uważnie go monitorować, ale konieczne może się okazać skierowanie do specjalisty.

– Do specjalisty? A jaki jest najgorszy scenariusz? Jak pęknie błona bębenkowa?

– Christy, do tego jeszcze bardzo daleko. Gdyby infekcja przeszła w stan chroniczny, specjalista może umieścić w uchu malutki dren osuszający ucho wewnętrzne.

Kobieta kaszlnęła.

– Do końca życia?

– Ależ nie! Najczęściej te dreny same wypadają mniej więcej po sześciu tygodniach, jak ucho wyzdrowieje. – Maxi podała jej receptę. – To bardzo powszechny zabieg.

– Dziękuję za to wyjaśnienie. – Christy posadziła sobie synka na biodrze. – Przyjdziemy za dwa dni. Do widzenia.

Mniej więcej w połowie dyżuru do gabinetu weszła Ayleen.

– Pora na małe co nieco – oznajmiła, stawiając na biurku tacę. – Twoje bułeczki są rewelacyjne. Zjadłam dwie.

– Weź kilka do domu – zaproponowała Maxi. – Upiekłam całą górę. Można je zamrozić.

– Świetny pomysł. Zaniosę je na tenisa. Koleżanki bardzo ucieszy taka odmiana po moich babeczkach. Marna ze mnie kucharka. – Ayleen westchnęła. – Gavin, mój mąż, twierdzi, że nic mi się nie udaje poza pieczeniem wołową i ziemniakami.

– Ayleen, to nieprawda. Jesteś niezastąpiona jako kierowniczką przychodni.

Kobieta lekko się zaczerwieniła.

– Staram się. – Skrzywiła się lekko. – Dostałoby mi się od Jake'a, gdybym was zaniedbywała.

Niechby spróbował, to wtedy ona przemówiłaby mu do słuchu, pamiętna własnych do niego żali. Jeszcze tak niedawno była pełna nadziei... Jakie oczekiwania łączyła z decyzją o wyjeździe do Tangaratty, z Jakiem... A teraz...

– Ja tu gadam i przeszkadzam ci w pracy. – Ayleen wyczuła zmianę jej nastroju.

– Dzięki, Ayleen.

– Drobiazg. I niech ci herbata nie wystygnie.

Jake zamknął drzwi za ostatnim pacjentem. Ale poranek, a praktycznie to już popołudnie. Kręcił głową i ruszał ramionami, by rozluźnić napięte mięśnie. Wszystko by oddał za porządny masaż. Znieruchomiał.

Maxi umie masować. Ha.

Przymknął oczy, niemal czując, jak mięśnie wiotczeją pod jej wprawnymi palcami.

Kogo on chce oszukać? W tej chwili Maxi go nienawidzi. I na pewno nie ma ochoty nawet się do niego zbliżyć. Westchnął głośno. Skoro przepadła szansa na masaż przyjdzie mu się zadowolić odbijaniem piłki na korcie do squasha.

Nie przestawał myśleć o kryzysie między nimi. To przede wszystkim jego wina. Musi się pokajać, zanim będzie za późno. Kurczę, ostatnio nic tylko się kaja.

Przeganiał włosy palcami. Dawno nie był w tak fatalnym nastroju, dawno tak niczego nie zabałaganił. Jednak wcale tak nie musi być. Na pewno musi wyjść, za wszelką cenę, ze stanu niezdecydowania emocjonalnego.

Pokrzepiony tym postanowieniem, energicznym krokiem wszedł do kuchni dla personelu, gdzie Ayleen właśnie wycierała blaty.

– No, nareszcie. Myślałam, że już się ciebie nie doczekam.

– Gdzie Maxi? – zapytał, ściągając brwi.

– Na lunchu z Liz Maynard i przedstawicielkami zarządu koła kobiet wiejskich. Ponoć przybyło nam „biednych” w regionie. Liz szuka sposobów pomocy, więc pewnie ma nadzieję, że Maxi wpadnie na jakiś pomysł.

– W przychodni Maxi ma wystarczająco dużo pracy – prychnął.

Ayleen zacisnęła wargi, kręcąc głową. Postawiła przed nim nakrycie z lunchem, po czym włączyła czajnik. Była absolutnie pewna, że tych dwoje się

pokłóciło. A tak na nich liczyła... Jej zdaniem Jake potrzebował kogoś takiego, jak Maxi, kobiety miłej, naturalnej i ślicznej.

– Oboje pracujecie za dużo – mruknęła. – Zwłaszcza ty się przepracowujesz. Zwolnij trochę!

– Dobrze sobie. – Rzucił się na pieczeń wołową i sałatę.

– Może dobrze by było usprawnić pracę w przychodni i godziny przyjęć – zaproponowała ostrożnie.

Spojrzał na nią znad talerza.

– Niby w jaki sposób?

– To nie takie trudne. – Poczula, że takiej okazji nie wolno jej przepuścić. Zasiadła na krześle na drugim końcu stołu, na wprost niego. – Są takie dni, kiedy godziny przyjęć przeciągają się w nieskończoność. I wcale nie dlatego, że pacjentów jest więcej, a dlatego, że niektórzy pozwalają sobie spóźnić się dwadzieścia minut na wizytę.

Nie bardzo go to przekonało.

– Ayleen, nie możemy nie przyjąć pacjenta.

– Ale nie musicie tolerować spóźnialskich albo takich, którzy nie są zapisani, a oczekują, że będą przyjęci – argumentowała. – Takim przykładem może być dzisiaj Brandon McCall.

Tylko nie to.

Wzruszył ramionami.

– Maxi go przyjęła.

– Wiem doskonale, że powinien pójść do ciebie.

– Kto ci naopowiadał? – wycedził przez zęby. Nie spodziewał się, że Maxi będzie komuś się żalić. Ale...

– Daj spokój, Jake! Nie jestem ślepa. Widziałam, jak wpadłeś do jej gabinetu, jak Brandon wyszedł. I widziałam, jaką potem miałeś minę. – Rozkręciła się na dobre.

– Maxi zrobiła to, o co ją poproszono. Intuicja mi podpowiadała, że Brandon da nogę, jeżeli zaraz nie wejdzie do gabinetu. A tego byśmy nie chcieli, prawda?

– Prawda. – Skrzywił się. – Powinienem był wiedzieć, że panujesz nad sytuacją.

– No właśnie – drążyła dalej. – Ty i Maxi stanowicie wspaniały zespół. Postaraj się tego nie popsuć.

– Siła kobiet, tak? – Zdobył się na kąśliwy uśmiech. Należało mu się. – Obiecuję, że się poprawię.

– Dobra. – Recepcjonistka wstała. – Gdyby matka Brandona miała trochę oleju w głowie, toby zadzwoniła, żeby zapisać syna na wizytę, i nie byłoby tej afery.

– Mało kto doświadczył takiej tragedii jak ta kobieta.

– I dlatego postanowiłam jak najszybciej wpuścić Brandona do lekarza.

– Okej, rozumiem. – Uniósł dłoń w pojednawczym geście. – Zorientuj się, kiedy ty, Maxi i ja możemy razem usiąść, żeby pogadać o tych usprawieniach.

– Z przyjemnością, doktorze. – Krokiem zwycięzcy Ayleen wyszła z kuchni.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gdy zasiadły przy stole na tyłach sklepu, Liz kolejno przedstawiła uczestniczki spotkania.

– Dawn, Alison i Jennifer. Dziewczyny, poznajcie nasz nowy nabytek, doktor Maxi Somers.

Dawn, opalona brunetka po pięćdziesiątce, spojrzała na Maxi sponad kubka z herbatą.

– Przyjechałaś aż z Anglii, żeby tu pracować? – Nie kryła zdziwienia.

– Wariatka – roześmiała się Jennifer, najmłodsza z całego grona. – Ale bardzo mi się to podoba.

– Mnie też – dorzuciła cicho Alison. – I jestem ci za to wdzięczna. Bo niejedna z nas modliła się o to, żeby w Tangaratcie zjawiała się lekarka. Nie dlatego, że Jake o nas nie dba, ale... sama wiesz, jak to jest. – Zaczerwieniła się.

Maxi przytaknęła. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Bywają takie sytuacje, w których kobiecie wygodniej jest zwierzyć się bratniej duszy, niekoniecznie lekarce. Jednak tak ciepłe powitanie ze strony tych kobiet wprawiło ją w zakłopotanie, zwłaszcza że po ostatnim spięciu z Jakiem całkiem serio rozważała możliwość powrotu do Anglii.

Ale gdy głębiej się nad tym zastanowiła, wydało się jej to mało atrakcyjne, ponieważ ku swojemu niemałemu zdziwieniu w tym prowincjonalnym miasteczku coraz częściej czuła się jak wśród swoich. Jej samopoczucie poprawiłoby się jeszcze bardziej, gdyby Jake w końcu jej zaufał...

– Maxi, masz jakieś propozycje? – zapytała Liz. – Jak mogłybyśmy temu zaradzić?

– Hm... – Powiodła spojrzeniem po zebranych. Znała temat spotkania, ale, prawdę mówiąc, nie miała kiedy o tym pomyśleć. Chyba że... – Można by zacząć od dzieci w szkole. Dałoby się zorganizować klub śniadaniowy, żeby nakarmić dzieci, które z różnych powodów chodzą głodne?

– To już jakiś początek... – Liz kiwała głową.

– Można by skorzystać z kuchenki sklepiku szkolnego – dorzuciła z entuzjazmem Jennifer. – Jest całkiem dobrze wyposażona.

– Chociaż moje dzieci już skończyły szkołę, mogę zgłosić się na dyżury – zaofiarowała się Alison.

– Liczę na szerokie wsparcie wszystkich członkiń naszego koła. – Liz zapisała coś na kartce. – Najpierw jednak musimy to skonsultować z dyrekcją szkoły – dodała.

– O to się nie martw. – Jennifer lekceważąco machnęła ręką. – Jestem w komitecie rodzicielskim. Ja to załatwię. Rozpracujmy plan Maxi, żeby jak najszybciej wprowadzić go w życie i zacząć dzieciaki dokarmiać. Mogę się podjąć roli intendentki, zamawiać produkty, przywozić...

– Masz na to czas? – zapytała Maxi.

– Czas się znajdzie – odparła Jennifer. – Mam w szkole czwórkę dzieciaków, więc sporo czasu spędzam na pomaganiu im w nauce. A jak się okaże, że nie dam rady, to te nowe obowiązki komuś przekażę.

– Jestem za – powiedziała Maxi. – Pod warunkiem że i wam odpowiada kandydatura Jennifer.

Przy stole rozległ się szmer aprobaty.

– Czym będziemy je karmić? – zaniepokoiła się Dawn. – Dzieci bywają kapryśne.

– Głodne dzieci nie kapryszą – stwierdziła Jennifer.

– Myślę, że to powinno być coś prostego. Jakieś płatki śniadaniowe, owoce, grzanka z czymś kalorycznym.

– I mleko – odpowiedziała Alison.

– Z czasem można by się pokusić o grillowane pomidory czy jajecznicę – rozmarzyła się Jennifer.

– Mamy pewne środki na ten program, ale one nie są nieograniczone – przypomniała im Liz. – I tutaj widzę pole do popisu dla Maxi.

O matko, one oczekują od niej finansowego wsparcia? Jej oszczędności są mikroskopijne. Niepewnie dotknęła złotego łańcuszka na szyi.

– Jak mam to rozumieć?

– Maxi, nie bój się! – Jennifer uspokajającym gestem położyła jej rękę na ramieniu. – To nie skok na twoją kasę. Potrzebujemy twojej medycznej opinii w uzasadnieniu naszego wniosku o środki na ten program.

– Aha. – Speszona popatrzyła na swoje towarzyszki. – Oczywiście, mogę się tego podjąć. Jeśli nie macie dostępu do różnych urzędzeń, to Ayleen nie będzie miała nic przeciwko wysłaniu kilku pism mejlem albo faksem przychodni.

Kobiety promieniały.

– Nie wątpię, że nowa pani doktor będzie ozdobą naszej gminy – oznajmiła Jennifer. – Liz, na następnym walnym zebraniu będę wnioskowała o przyznanie Maxi członkostwa.

– Poprę cię obiema rękami – zapewniła ją Liz.

Kilka minut później spotkanie dobiegło końca.

Maxi szła sprężystym krokiem, uskrzydłona świadomością, że zdobyła nowe koleżanki, ale jej radość zgasła w chwili, gdy przekroczyła próg przychodni. Otoczyła ją atmosfera nerwowości.

– No, nareszcie – powitał ją Jake.

– Spóźniłam się? – spytała zaczepnym tonem.

Jego rysy stężyły. Aha, nadal jesteście na wojennej ścieżce, pomyślała.

– Maxi, nie liczę ci czasu – mruknął – ale mamy wypadek w aeroklubie w Rossvale. Trąba powietrzna porwała spadochroniarza. Musimy tam jechać.

Błyskawicznie się zmobilizowała.

– Co z pacjentami w przychodni?

– Przejrzałem listę zapisanych. Sami stali pacjenci. Na pierwszy rzut oka wszyscy mogą przyjść jutro albo w poniedziałek. Ayleen już do nich dzwoni. Sądzę, że nie będzie miała z tym problemu.

– Jak zwykle. – Uśmiechnęła się ostrożnie.

– Uhm. – Jake odwzajemnił uśmiech.

Oddechnęła głębiej.

– Musimy zabrać ze szpitala zestaw urazowy – powiedział. – Masz jakąś kurtkę?

– Tak.

– Więc ją weź. Ta akcja może potrwać do wieczora, a w Rossvale temperatura czasem spada poniżej zera.

Poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku. Udział w akcji ratowniczej nigdy nie należy do przyjemnych.

– Idę po kurtkę.

Spojrzał na nią spod półprzymkniętych powiek.

– Będę czekał przed domem.

Pędzili główną drogą.

– Jak daleko jest do Rossville? – zapytała, przyjemnie zaskoczona tym, jak szybko się zorganizowali.

– Rossvale – poprawił ją. – Około czterdziestu kilometrów. Niedługo tam dotrzemy. Jak widzisz, praktycznie nie ma ruchu.

Po obu stronach drogi ciągnęły się spalone suszą, bezkresne pastwiska.

– Wiemy coś więcej o rannym?

– Złamania i prawdopodobnie uraz głowy. Karetka powinna przyjechać zaraz po nas.

– Trzeba go będzie przewieźć do Sydney?.....

– Śmigłowiec już został wezwany. Wyląduje na lądowisku przy szpitalu.

Mam nadzieję, że karetką podwieziemy tam pacjenta już ustabilizowanego.

W jego głosie dźwięczał niepokój. Trudno mu się dziwić. Na takim odludziu lekarze stale balansują na krawędzi ryzyka. Koszmarne brzemię odpowiedzialności...

– Maxi, ktoś musi to robić – powiedział cicho.

Gwałtownie odwróciła głowę w jego stronę, porażona odkryciem, że Jake czyta w jej myślach.

– Chyba nieustannie żyjesz z uczuciem, że raz po raz jesteś wystawiany na próbę.

Wzruszył ramionami.

– Robimy tyle, ile można zrobić w konkretnej sytuacji.

– Gdyby wszyscy lekarze mieli takie filozoficzne podejście, nie mówiłoby się o wypaleniu w tym zawodzie. – Postarała się o nutę cynizmu z głosem. – Opowiedz mi o trąbach powietrznych.

– Wywołują je konkretne warunki atmosferyczne. W tym przypadku skoczek był zaledwie dziewięć metrów nad ziemią, kiedy pęd powietrza dosłownie cisnął nim o ziemię.

– Tak jak potrafi człowieka powalić fala na oceanie?

– To raczej jak rażenie piorunem.

O mój Boże. Oddychała głęboko, by zapanować nad nerwami, bo uprawianie medycyny w plenerze śniło jej się po nocach jako koszmar.

Przywitał ich Aaron McEvoy, szef instruktorów w klubie spadochronowym.

– Dzięki, Jake.

– Poznaj doktor Somers z naszej przychodni — przedstawił ją. – Znasz nazwisko poszkodowanego?

– Brett Hosking, lat dziewiętnaście. To był jego piąty skok. Nieborak nawet się nie zorientował, co go powaliło.

– Przytomny?

– Ledwie. – Aaron prowadził ich do prowizorycznego namiotu rozpiętego nad skoczkiem.

Jake uniósł płachtę, puszczając Maxi przodem. Przyklękli obok chłopaka.

– Cześć, Brett. – Jake otwierał torbę. – Mam na imię Jake, a to jest Maxi. Jesteśmy lekarzami. Możesz nam powiedzieć, gdzie jesteś? – zapytał, rozpoczynając prosty test przytomności poszkodowanego. Brett odpowiadał z trudem, ale tranie. – Maxi, podaj mi latarkę.

Jake w skupieniu badał źrenice chłopaka.

– Równe i wrażliwe – meldował.

Dzięki Bogu, pomyślała Maxi. Można mu podać środek przeciwbólowy bez obawy komplikacji.

– Jacob, prawa noga leży pod nienaturalnym kątem –zauważyła. – Złamanie stawu biodrowego?

– Prawdopodobnie. Potrzebny opatrunek. Spokojnie, stary. – Jake nakładał poszkodowanemu maskę tlenową. – Zaraz dostaniesz środek przeciwbólowy, a śmigłowiec już jest w drodze. Wkrótce polecisz do szpitala.

– Oslucham go. – Maxi pochyliła się nad klatką piersiową Bretta. – Oddech trochę chrapliwy. – Odłożyła słuchawki, po czym przeszła do badania powłok brzusznych. – Brzuch miękki.

Oznacza to, że śledziona nie została uszkodzona.

– Podłączymy go do kroplówki. – Jake wprawnymi ruchami założył opaskę uciskową. – Słabe krążenie – mruknął, poklepując miejsce poniżej opaski, by żyła się uwypukliła. – Nareszcie! – Odetchnął z ulgą, po czym wbił igłę.

Maxi bacznie obserwowała pacjenta.

– Morfina? Jeśli tak, to sugerowałabym nieco niższą dawkę. On jest bardzo szczupły.

– Zgoda. Pięć mililitrów.

– Oraz coś przeciwwymiotnego.

– Maxolon. Dziesięć mililitrów, a za chwilę pięćdziesiątkę petydyny. To powinno mu wystarczyć na czas przelotu do szpitala.

Zajęła się przygotowywaniem leków.

– Brett, jesteś na coś uczulony?

Ze wzrokiem pociemniałym z bólu chłopak pokręcił głową.

– Tak trzymaj, stary – przemawiał do niego Jake. – Spisujesz się na medal. – Przeniósł spojrzenie na Maxi. – Gotowe?

Kiwnęła głową. Modliła się w duchu, by ten koktajl zadziałał jak najszybciej, bo widać było, że chłopak cierpi.

– Maxi, teraz unieruchomimy nogę. Im szybciej go wsadzimy do karetki, tym lepiej.

Poczuła, że ucisk w jej skroniach nieco zmalął. Już prawie wyszli na prostą, już niedługo Brett będzie w drodze do Sydney...

Jake kończył mocowanie szyny.

– Zrobione. Wyjdę, żeby powiedzieć ratownikom, że mogą go brać na nosze. Maxi, teraz petydyna.

Gdy wymknął się z namiotu, Maxi otoczyła przerażająca cisza. Odkaszlnęła, odgarniając włosy z twarzy. To nie pora na zastanawianie się, co robi w tej głuszy, setki kilometrów od wsparcia, jakie daje techniczne zaplecze oddziału ratunkowego. Nagle intuicja kazała jej odwrócić uwagę od fiolki z lekiem. Jej ręka zawisała w powietrzu. Boże...

Wystarczył jeden rzut oka na pacjenta, by wiedziała, że zbliża się najgorsze.

– Jacob! – zawołała rozpaczliwym głosem.

Brett, blady jak ściana, z trudem chwycił powietrze. Panie Boże, nie! Ale ona też musi działać, bo inaczej chłopak umrze. Jednym szarpnięciem rozdarła mu koszulę, żeby rozpocząć uciskanie klatki piersiowej.

– Psiakrew! – Usłyszała za plecami, że Jake wpadł do namiotu. – Zator tętnicy płucnej! – Najgorsza z komplikacji. Konieczna intubacja. Szlag by to trafił.

Dlaczego tego nie przewidział? Miał przecież przed oczami wszystkie elementy, które mogą się na to złożyć. Poważne złamanie. Tłuszcze ze złamania zablokowały naczynia krwionośne! Cholera, po co wybrał sobie ten zawód?! Zapanował nad własnym oddechem. Nie trać zimnej krwi, powtarzał sobie, wsuwając rurkę do tchawicy i podłączając ją do tlenu.

– Oddychaj! – warknął. – No, jazda!

Maxi obserwowała go w napięciu. Co chwila sprawdzał tętno pacjenta.

– Jacob, na litość boską – zawołała drżącym głosem. – Defibrylator!

Przyjął właściwą pozycję.

– Weź ode mnie worek!

– Pospiesz się! – Nie wiadomo, skąd czerpała siły. Teraz życie Bretta zależało od tego, jak będą współpracowali.

Niemal automatycznie odebrała od niego worek. Spoglądała na wyświetlacz, modląc się w duchu, by ładunek elektryczny pobudził serce.

– Dwieście! – warknął Jake.

Kłęczała z gardłem ściśniętym strachem, czując, jak pot spływa jej po plecach. Nadal linia ciągała.

– Maxi, uciskaj, a ja podam mu adrenalinę. – Z zaciśniętym wargami sięgnął po już przygotowaną strzykawkę z życiodajnym środkiem, po czym wprawnym ruchem wbił ją między żebra prosto w serce, po czym wrócił do defibrylatora.

Oboje w napięciu wpatrywali się w wyświetlacz. Linia drgnęła, by po chwili się wznieść, opaść, wznieść, powracając do normalnego rytmu.

– No – mruknął Jake. – Wrócił.

Poczuła, jak łyzy cisną się jej do oczu. Żeby nad nimi zapanować, zamrugwała.

– Ej, Maxi, już jest dobrze. – Otoczył ją ramieniem.

– Bałam się... że nam umrze – chlipnęła, wtulając twarz w jego ramię.

– Nie ma mowy. – Musnął wargami jej czoło.

Obejmowali się, gdy do namiotu wszedł Tony Jones, ratownik, ciągnąc za sobą nosze.

– Dobra robota – pochwalił ich półgłosem. Maxi odsunęła się od Jake'a.

– Tony, zanim go zabierzesz, podam mu jeszcze midazolam, żeby złagodzić skutki wstrząsu. Wrócił do rytmu zatokowego, ale w dalszym ciągu należy go monitorować.

– Tak jest, doktorze. – Tony miał za sobą wiele lat pracy w ratownictwie i doskonale wiedział, jak szybko może się pogorszyć stan pacjenta. – Okej. Zabieramy go.

– Na tym kończy się nasza odpowiedzialność – rzucił Jake, gdy spoglądali w niebo na migające światełka podniebnej sanitarki.

Maxi odetchnęła. Brett już pokonuje ostatni odcinek podróży do szpitala, więc ona mogłaby ruszyć w drogę powrotną do domu.

Gdy wsiadała do samochodu Jake'a, poczuła, że z wyczerpania nogi się pod nią uginają.

– Nienawidzę tej strony naszej pracy – westchnęła.

– Owszem, ta akcja była trudna. – Rzucił jej pełne zrozumienia spojrzenie. – Ale sobie poradziłaś.

– A gdyby mnie tu nie było?

– Tony pomagałby mi w miarę swoich możliwości, ale nawet nie wiesz, jak dobrze mi robiła świadomość, że mam w zespole drugiego lekarza.

Stłumiła gorzki śmiech. Jake potrzebuje wyłącznie jej umiejętności... Była jednak zbyt zmęczona, by żądać wyjaśnień.

Oślepiąca blaskiem światła po wejściu do domu, pomyślała, że upłynęło wiele lat, odkąd rano opuszczała te progi.

– Wezmę prysznic.

Omiótł ją badawczym wzrokiem. Sprawiała wrażenie udrepczonej, ale czuł, że przyczyny nie należy upatrywać wyłącznie w kilkugodzinnej dramatycznej akcji, w której przyszło im odegrać pierwsze skrzypce.

– Ja też się umyję, a potem zrobię coś do jedzenia.

– Nie jestem głodna. – W tej chwili jedzenie było bez znaczenia w porównaniu z resztą jej problemów.

– Musisz coś zjeść – tłumaczył jej. – Oboje musimy się pożywić. Zrobię omlet. Zmykaj.

Czując się jak zbity pies, poszła do swojego pokoju, zamknęła drzwi, rozebrała się, wrzuciła brudne ubrania do kosza, po czym stanęła pod

prysznicem. Gorąca woda tak przyjemnie koła jej obolałe mięśnie, że zupełnie zapomniała o trzyminutowym limicie.

Takie jedno potknięcie to chyba nie zbrodnia, uciszała swoje sumienie. Wracając do sypialni, tęsknie popatrzyła na łóżko. W tej chwili najchętniej nakryłaby się z głową i zapomniała o Jake'u oraz całym tym dniu.

Ale nie może tak postąpić. Podejrzewała, że gdyby się nie pokazała w kuchni, Jake po nią by przyszedł. Bez entuzjazmu nałożyła spodnie oraz T-shirt.

Gdy weszła do kuchni, Jake gestem wskazał jej kieliszek ze schłodzonym białym winem.

– Dzięki. – Umoczyła wargi. – Też coś pijesz?

W odpowiedzi kiwnął głową w stronę otwartej puszki piwa na jednym z blatów.

– Chcesz o czymś porozmawiać? – zapytał, ustawiając przed sobą miskę, trzepaczkę oraz jajka.

Spuściła wzrok, spoglądając na zaparowany kieliszek.

– Na pewno zrobiliśmy wszystko, co należało? Ach, to dlatego była taka milcząca w samochodzie.

Zwątpiła w siebie i swoje umiejętności?

– Na miejscu wypadku znaleźliśmy się tak szybko, jak się dało. Wszystkie procedury ratunkowe wykonaliśmy najlepiej, jak było można. Co jeszcze mogliśmy zrobić?

Zacisnęła palce na zimnej nóżce kieliszka.

– Pierwszy raz czułam się jako lekarz taka osamotniona, taka bezradna...

Doskonale znał te emocje. Przeniósł na nią wzrok.

– Tylko nie zaczynaj podważać wszystkiego, co tu robisz, bo skończysz u psychiatry. Ustabilizowaliśmy pacjenta na tyle, żeby nadawał się do

przetransportowania do specjalisty. Myślę, że możemy sobie wybaczyć tych kilka sekund, kiedy wpadliśmy w panikę.

Domyślił się? – przeszło jej przez głowę.

– Może masz rację. Uniósł brwi.

– Nie masz sobie nic do zarzucenia – zapewnił ją. – Coś jeszcze leży ci na sercu? Nie krępuj się. – Odwrócił się i z przesadną energią zaczął ubijać jajka.

– Przydałoby się, żeby ktoś mnie przytulił – szepnęła bardzo cicho.

– Słucham? – Wyciągnął szyję w jej stronę. Speszona poczuła, jak między nimi narasta napięcie.

Udaje, że nie słyszał? Trudno jej było się zorientować, ale uznała, że nie da się wciągnąć w tę grę. Wskazała na miskę.

– Powiedziałam, że nie będą puszyste.

– Jak to?

– Jak będziesz je tak mocno ubijał. Do omletów trzeba mieć lekką rękę. Wzruszył ramionami.

– Zobacz, czy mamy z czego zrobić sałatę.

Koniec rozmowy. Zsunęła się ze stolka, podeszła do lodówki i otworzyła drzwi.

– O, Marie przyniosła pęk rukoli. Kochana Marie. Pewnie z jej ogrodu. – Urwała listek i włożyła go do ust. – Mmm, pyszna. My chyba też moglibyśmy hodować warzywa, nie?

– Pod warunkiem, że zamierzasz tu zostać, aby się nimi zajmować. – Chciał, by zabrzmiało to jak wyzwanie. Jednocześnie zastanawiał się, kiedy powinni usiąść, żeby porozmawiać o tym, czy jest dla nich szansa na wspólną przyszłość, czy jej nie ma.

Maxi zajęła się przygotowaniem sałaty. Czy on się domyśla, jak bardzo zachwiała jej poczuciem bezpieczeństwa po incydencie z Brandonem McCallem?

– Kilka roślin nikomu nie zabierze dużo czasu, Jacob, nawet tobie.

Zacisnął zęby. Czy ona w ten sposób daje mu do zrozumienia, że on może iść do diabła? Odczekał, aż łyżka masła stopi się na patelni, po czym wylał na nie masę jajeczną.

– Możemy zjeść na werandzie – powiedział.

– Czemu nie?

Ich komórki rozdzwoniły się w tej samej chwili kilka minut po tym, jak skończyli jeść. Jake wstał z fotela i odszedł w odległy koniec werandy.

Kiedy wrócił, powitał go radosny szczebiot Maxi.

– Dzwoniła Liz. Karryn Goode zaprosiła na jutro kilka dziewczyn z koła gospodyń i poprosiła Liz, żeby i mnie przekazała zaproszenie.

Jake'owi na moment odebrało głos.

– Cieszę się, że masz coraz więcej koleżanek. – Oparł się o fotel. – Do mnie dzwoniła Ayleen. Okazało się, że rano należy przyjąć kilku pacjentów. Ja ich przyjmę. Zasłużyłaś na dzień wolnego.

– Dzięki. – Wstała, by pozbierać ze stołu. Ona też uważała, że należy się jej wolne. – Wstawię to do zmywarki i idę spać. Nie wiem, kiedy jutro wrócę od Karryn, więc zobaczymy się, jak się zobaczymy.

Nie zatrzymał jej. Kiedy znajdą czas, żeby poważnie porozmawiać?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wróciwszy, zastała go na werandzie. Siedział w półmroku przy stole.

– Myślałam, że wrócę wcześniej – powiedziała.

Gdy się odezwała, uniósł głowę i zmrużył oczy, jakby oślepiło go mdłe światło lampy nad wejściem.

– Coś do picia? – zapytał.

– A co ty pijesz?

– Mineralną. Uśmiechnęła się.

– Przyniosę wino. – Położyła mu rękę na ramieniu. –Nie wstawaj. Opowiem ci, jak było w Westwood.

– Krzyk ptaków był ogłuszający – mówiła jakiś czas później, relacjonując mu swój pobyt na farmie Karryn. –A te zimorodki australijskie! Jadłyśmy lunch i, wyobraź sobie, jedno ptaszysko sfrunęło na stół i ukradło z talerza kawał surowego mięsa, które Dean grillował.

– Zimorodki zazwyczaj polują na żywą zdobycz – zauważył.

– Karryn twierdzi, że one potrafiłyby oderwać człowiekowi nos, gdyby uznały, że warto.

– Widziałaś papugi?

– Dziesiątki. Jak one hałasują! Siedziały na wielkim eukaliptusie. Była też wielka jaszczurka, która wdrapywała się na drzewo.

– Pewnie *goanna*. Czarna w brudnozielone pręgi?

– Tak, chyba tak. Karryn powiedziała, że pewnie na drzewie jest gniazdo i ona idzie po jaja. Ale ptaki ją przepłoszyły i uciekła w krzaki. Potem przyleciały dwie papugi królewskie. Jakie one piękne... Takie czerwono—turkusowe. Usiadły na płocie i patrzyły, jak jemy. Zrobiłam im zdjęcie. –

Pokręciła głową. – Jakie to dziwne, że dla mieszkańców tych rejonów to codzienność.

– Bo widzą to od dziecka. Co jeszcze robiłaś?

– Pracowałam. – Potrząsnęła włosami. – Zbadałam Karryn i dziecko. Oboje zdrowi, ale uważam, że Karryn zdecydowanie za dużo pracuje. Dean obwiózł mnie jeepem po farmie. Ogromna. I kompletnie spalona przez suszę. Ale podobno na wybrzeżu pada, więc Dean ma nadzieję, że i tu przyjdą deszcze. Słyszałeś o tym?

– Nie.

– O matko, ja tak gadam i gadam, a powinnam zapytać, jak tobie minął ten dzień.

Skrzywił się.

– Zwyczajnie.

– Miałaś więcej pacjentów, niż tylko tych zapisanych?

– Nie, tłoku nie było. – Wzruszył ramionami. – Wezwano mnie do wypadku na szosie. Zginęła młoda kobieta. Było trochę roboty. Straciła panowanie nad kierownicą, spadła ze skarpy i koziołkowała. Skręciła sobie kark.

– Ojej... Ktoś stąd?

– Nie. – Pokręciłby głową, ale to było zbyt bolesne. Upił łyk wody, czekając, aż ból minie. – Samochód był z wypożyczalni w innym stanie. Policja znalazła jej dane, a ja wypisałem świadectwo zgonu. Do niczego więcej się nie przydałem.

Znowu miał przygnębiający dzień, a wczoraj Brett...

– Wiadomo, czy miała rodzinę?

– W jej portfelu znaleziono zdjęcia dzieci. –Z cichym jękiem uniósł dłoń do skroni, gdy przed oczami zawirowały mu czarne płaty, a ból zaczął rozsadzać głowę.

Psiakrew, nie!

– Jacob... ? – Natychmiast skojarzyła jego ściągnięte rysy i bladość twarzy.

– Migrena, przepraszam – mruknął, osłaniając oczy przed światłem. – Pierwszy raz od egzaminu dyplomowego.

Błyskawicznie sięgnęła po plastikowe wiaderko, do którego wrzucała obierki na kompost. Na szczęście puste, pomyślała, podsuwając mu je.

– Będziesz wymiotował?

W odpowiedzi zdążył jeszcze chwycić wiaderko. W ostatniej chwili.

– Przepraszam.

– Nie wygłupiaj się. Powinieneś się położyć. Czym się kurujesz z migreny?

– Przesypiam ją.

– Dam ci środek nasenny, żeby to przyspieszyć. – Pomogła mu wstać. – Oprzyj się na mnie. I idź do mojej sypialni. Bo jest bliżej. Poza tym rano zmieniłam pościel.

– Ale wstyd... – Próbował się uśmiechnąć, ale mu nie wyszło.

– W ubraniu? – zapytała, gdy opadł na jej łóżko.

– Chcesz mnie rozebrać? – Chciał unieść głowę, ale nie miał siły,

– Nie myśl, że to niemożliwe. – Pochyliła się, by zdjąć mu espadryle, po czym przeniosła jego nogi na łóżko, a potem wyszła do holu, gdzie z szafy wyjęła grube bawełniane prześcieradło. – Zaraz do ciebie wrócę –powiedziała, przykrywając go. –Przyniosę swoją torbę.

Gdy wróciła, leżał w niezmienionej pozycji, z zaciśniętymi oczami.

– Pamiętaj, że nie chcesz uśpić bawola – mruknął.

Zignorowała ten żarcik.

– Teraz cię ukłuję – ostrzegła go. – I pamiętaj, że gdybyś czegokolwiek potrzebował, to będę blisko.

– Czegokolwiek? – Skrzywił się, gdy wbiła mu igłę.

– W granicach rozsądku, Jacob. A teraz spróbuj zasnąć.

W ciągu następnych dwóch godzin zajrzała do niego kilkakrotnie. Przestał wymiotować, a z czasem drzemka przeszła w sen. W końcu uznała, że może go już zostawić.

Wzięła prysznic, po czym ułożyła się na kanapie w salonie. Chalky legł tuż obok na podłodze. Nie wyobrażała sobie, by mogła zasnąć w łóżku Jake'a.

Obudziła się koło szóstej i na palcach weszła do pokoju, w którym zostawiła Jake'a. W nocy najwyraźniej ściągnął koszulkę i zrzucił prześcieradło, ale nadal spał mocno. Leżał twarzą do ściany, na brzuchu, z ramionami po obu stronach poduszki, z jedną nogą nieco podkurzoną.

Pochyliła się nad nim, żeby dotknąć jego szyi i czoła. Chłodne, dzięki Bogu.

Stała, wpatrując się w niego jak zauroczona. Taki bezradny... Bezwolnie, jakby obserwowała siebie, stojąc z boku, pogładziła go po plecach. W tej samej chwili przysły wszelkie pozory, że traktuje go wyłącznie jak pacjenta. Westchnęła. Jego skóra była ciepła i gładka. Dotykanie jej sprawiało Maxi ogromną przyjemność. Przyjemność, której się pozbawiła na dwa długie lata.

Czy wolno jej zrobić to, czego tak bardzo pragnie? Zagryzła wargi, by nie jęknąć. Pchana jakąś niewyjaśnioną siłą poszła po olejki, by natrzeć dłonie orzeźwiającą mieszanką lawendy, rumianku oraz imbiru.

Czy wolno jej w ten sposób naruszyć jego prywatność? Czy przekroczy nieprzekraczalną granicę między sferą zawodową i prywatną? Odsunęła od

siebie te wątpliwości. Masaż pomoże mu się zrelaksować. Pomoże zapomnieć o koszmarnej bólu minionego wieczoru.

Masowała go bardzo delikatnie, żeby się nie obudził, co jednak nie przeszkodziło jej delektować się gładkością jego ciała i uśpioną siłą mięśni.

Poczuła mrowienie w dole brzucha. Kiedyś знаła jego ciało jak własne. Kiedyś.

Teraz dostała szansę, by znowu z bliska cieszyć się tym ciałem. Jak zahipnotyzowana muskała kręgosłup, palcami wiodąc po symetrycznych zagłębieniach i wypukłościach. Znieruchomiała dopiero, gdy jej dłoń wsunęła się pod gumkę bokserów, a Jake poruszył się przez sen.

Wystarczy.

Przemknęła do łazienki i stanęła pod prysznicem. O rany, jak tak dalej pójdzie, to rachunek za wodę będzie niebotyczny, pomyślała, ale musiała, musiała znaleźć ukojenie w strumieniach chłodnej wody.

Owinięta ręcznikiem zastanawiała się, co na siebie włożyć. Mimo że był dopiero poranek, dzień zapowiadał się gorący i lepki. Westchnąwszy, zdecydowała się na szorty oraz górę bez rękawów.

Stanąwszy przed lustrem, żeby się uczesać, zwróciła uwagę na swoje zaczerwienione policzki. Nie powinna była tego robić. Jake się o tym dowie, jak tylko poczuje na sobie zapach olejków. Pokręciła głową. Będzie zmuszona spojrzeć mu w oczy, nie ma wyjścia. Ale może to najwyższy czas, żeby wyjaśnili sobie różne sprawy? Czy chcą znowu zostać kochankami... czy nie?

Może dowie się tego właśnie dzisiaj.

Gdy wróciła do salonu, Chalky wstał z podłogi, przeciągnął się i ziewnął, szeroko otwierając pysk, znowu się przeciągnął, po czym podreptał za nią do kuchni.

– Na dwór! – Otworzyła siatkowe drzwi. – Jak wrócisz, dostaniesz jeść.

– Będzie herbata?

Odwróciła się gwałtownie, czując, że się czerwieni. Jake stał w drzwiach, leniwie opierając się o framugę.

– Wstałeś? Jak się czujesz?

– Lepiej... dzięki masażowi.

– Jacob, nie spałeś!

– Drzemałem.

– Dlaczego mnie nie powstrzymałeś?

– Po co? – zapytał z błyskiem w oku. – Mnie się podobało, tobie nie?

– Mnie też. – Uniosła głowę z godnością. – Zrobię herbatę... Musisz uzupełnić płyny.

– Tak, pani doktor. – Usiadł na wysokim stołku. –Dziękuję ci za opiekę. Byłem w beznadziejnym stanie.

Wzruszyła ramionami, stawiając na stole kubki.

– Ty byś dla mnie zrobił to samo.

– Nie wiem, czy potrafiłbym zrobić ci taki masaż.

Strach ścisnął ją za gardło.

– Bałam się, że przekraczam...

– Jestem zwolennikiem przekraczania.

Na moment zabrakło jej tchu, ale się opanowała, podsuwając mu kubek.

– Chyba wczoraj zachowałam się bardzo egoistycznie.

– Co takiego zrobiłaś? – Łapczywie pił mocną, gorzką herbatę.

– Zniknęłam na cały dzień. Tobie też należało się wolne. Dean się o ciebie pytał. Tłumaczył się, że dla niego było oczywiste, że przyjedziesz po pacjentach. Był sam jak palec wśród tłumu kobiet.

– I narzekał?

– Wyglądał na skrepowanego. – Piła herbatę, oparta o blat kuchenny. – Powinnam była zostać, żeby ci pomóc. Podobno jesteście partnerami.

– Maxi, nie rób sobie wyrzutów. Musisz mieć chwile wytchnienia... ode mnie i od pacjentów. Zareagowałem niewłaściwie w sprawie Brandona. Podważyłem twój autorytet, a na to nie zasłużyłaś.

– O... – Czegoś takiego się nie spodziewała. – Bardzo mnie to zabolalo – przyznała, po czym przez chwilę dobierała słowa. – Jaka przyszłość czeka teraz Brandona i resztę rodziny? Uda im się zatrzymać farmę czy nadal są na liście dłużników banku?

– Słyszałem, że jakiś krewny pani McCall poratował ich sporym zastrzykiem finansowym.

Maxi ściągnęła brwi.

– Wcześniej nie było takiej możliwości...

– Podejrzewam, że to Harley na to się nie zgadzał. Miał się za niezdare, więc tym bardziej nie chciał prosić rodziny żony o pieniądze.

– Szkoda, że o tym nie rozmawiali. – Smutno potrząsnęła głową. Kilka słów mogło uratować mu życie.

– Maxi, my też musimy porozmawiać. – Jake patrzył na nią spod opuszczonych powiek. Nawet nie zauważyła, jak zsunął się ze stołka i stanął tuż przed nią. Nieoczekiwanie pogładził ją po policzku.

Jego dotyk sprawił, że aż coś ścisnęło ją za gardło. Zamknęła oczy, żeby się napawać ciepłem jego delikatnych palców, a gdy musnęły jej wargi, rozchyliła usta.

– Maxi... popatrz na mnie.

Czując bijące od niego ciepło, zarzuciła mu ręce na szyję i westchnęła.

W końcu przestali się całować. Spoglądali na siebie przez dłuższą chwilę, dopóki Jake ostrożnie nie odgarnął jej kosmyka włosów za ucho.

– Chciałbym, żeby to się skończyło.

Żeby się skończyło? To miał być pocałunek na pożegnanie? Jake podjął ostateczną decyzję? Postanowił ją odesłać? Ale ona nie wyjedzie. Nawet jeśli Jake zaciągnie ją na lotnisko, to ona nie wejdzie na pokład.

– Żeby się skończyło... ? – wykrztusiła. – Jak to?

– Mam dosyć tej niepewności – mówił półgłosem. – Jeżeli ty też...

– O tak. Myślałam...

– O czym myślałaś? – Zaczął obsypywać pocałunkami jej szyję.

Uderzyła go pięścią w pierś.

– Myślałam, że zamierzasz związać mnie jak szynkę i wrzucić do samolotu.

Jake serdecznie się roześmiał.

– Maxi, chcę, żebyś tu została. Zobaczymy, czy to, co nas łączyło w Anglii, może być podstawą czegoś głębszego niż wakacyjna przygoda.

Prawdę mówiąc, to jeszcze nie to, co chciała usłyszeć, ale i tak bardzo dużo. Spochmurniała.

– To nie była wakacyjna przygoda. Wpatrywał się w jej oczy.

– Nie była... ale z perspektywy czasu wydaje mi się całkiem nierealna.

– Możliwe – przyznała po chwili namysłu. – W bardzo krótkim czasie próbowaliśmy zmieścić za dużo emocji.

Tak też można to ująć, pomyślał. I prawdopodobnie dlatego przestraszyła ją perspektywa wyjazdu z nim na drugi koniec świata. Jednak to jeszcze nie wyjaśnia, dlaczego potrzebowała dwóch lat, by zmienić zdanie i przylecieć do Australii. Ale już jest tutaj i to jest najważniejsze.

– Więc teraz żyjemy w realu. – Musnął wargami jej usta. – Dajmy sobie czas na sprawdzenie, co nas czeka.

– Mnie to odpowiada – odparła drżącym głosem, nagle tracąc pewność siebie. Odsunęła się od niego, żeby zebrać kubki. – Masz ochotę na śniadanie?

W jego oczach załśniły iskierki rozbawienia. Nie śniadanie chodziło mu po głowie, ale nie będzie jej prosił o nic, do czego sama nie dojrzała. To go niechybnie zabije, ale ma już za sobą dwa lata czekania, więc dzień czy dwa go nie zbawi.

– Zjadłbym grzanekę.

– Myślę też, że mógłbyś dzisiaj trochę się oszczędzać. – Znowu poczuła się lekarzem. – I tak ja mam dyżur. – Jeśli zostanie wezwana gdzieś do buszu, to pojedzie. Została lekarzem na prowincji, to będzie robić wszystko, by zasługiwać na ten przywilej.

Wolna od lęku o swoje miejsce w Tangaratcie z zapalem zabrała się za opracowywanie wykładu na temat zdrowia mężczyzn. Jake nadal odmawiał współpracy, więc postanowiła podzielić się swoim pomysłem z Davidem i Bron. Spojrzała na zegarek. Złapie ich w szpitalu.

Zastała ich przy stanowisku pielęgniarek.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? – zapytał podejrzliwie David, podnosząc wzrok znad kart pacjentów.

– Jako wykład kompletnie niezagrażający, wyważony, ale zawierający dużo informacji. Chciałabym nim objąć wszystkie grupy wiekowe. Z tego, co do mnie dotarło, wiem, że większość mężczyzn zgłasza się do lekarza, dopiero jak zachęci ich do tego kobieta.

– Żałosna sprawa, nie? – Bron wymownie spojrzała na męża.

– O co ci chodzi? – David uniósł dłonie obronnym gestem.

Maxi oparła się o biurko.

– Ale chyba się zgodzicie, że mężczyźni niezależnie od wieku, nawet jak mają objawy, odkładają w nieskończoność wizytę u lekarza.

– Ależ oczywiście. – Bron wzruszyła ramionami. – Bywa, że się decydują, jak już jest za późno, żeby zrobić coś sensownego, albo jak dochodzi do powikłań. Maxi, uważam, że warto spróbować. Ja ci pomogę.

– Dzięki. Liczyłam na ciebie. – Już się bała, że będzie zmuszona polegać tylko na sobie. – David, a ty?

– Hm... – Drapał się w brodę wyraźnie zakłopotany. – Będę pomagał... w tle. Jak trzeba zorganizować krzesła, tablice, ekran...

– To bardzo istotna pomoc – ucieszyła się. – Dzięki temu będę mogła materiał audiowizualny rzucać z laptopa. – Zawahała się. – Zupełnie nie wiem, gdzie by to mogło się odbyć...

– A w naszej sali spotkań? – David wczuł się w swoją nową rolę.

– Hm. – Maxi się zasepiła. – Jake wspomniał, że próbował zorganizować coś podobnego, ale było bardzo mało chętnych. Myślę, że tutaj jest wystarczająco dużo miejsca, ale wątpię, czy przyszliby na spotkanie w szpitalu. Bron prychnęła.

– Nanieśliby tu tyle pyłu, że byśmy się podusili. – Zamyśliła się. – A pub? Na piętrze jest spora sala weselna. Łatwo dałoby się ją przerobić na salę konferencyjną.

– O, to dobra myśl. Co wy na to?

– Ale żeby chłopaki nie uznały tego za pretekst, żeby się upić – ostrzegł je David.

– Nie widzę najmniejszego problemu – stwierdziła Bron. – Ogłosimy zakaz wnoszenia alkoholu, a do picia będzie herbata, kawa i napoje bezalkoholowe. Poza tym wielu z nich przyjedzie z farm autami, więc nie będą pili.

– Okej – uspokoił się David. – Stanęło na pubie, tak? – Rzucił Maxi pytające spojrzenie. — Mam się tym zająć?

– Super. – Uśmiechnęła się. – Może uda mi się namówić Jake'a do współpracy.

– Nie chce się angażować? – zdziwiła się Bron.

– Twierdzi, że do tego, żeby przyciągnąć facetów, potrzebne jest babskie podejście.

– Biedactwa – westchnęła Bron. – Kiedy to ma się odbyć?

– Niedługo. Opracowałam już wszystkie tematy, które chciałabym poruszyć. Potem jakiś czas przeznaczam na pytania z sali i odpowiedzi, mam też fantastyczne filmiki.

– Ha, ha, ha! – David wybuchnął śmiechem. – O tym, dlaczego nie należy bać się gumowych rękawiczek? No, jak będą takie atrakcje, to możecie spodziewać się pełnej widowni.

Maxi czuła, że serce jej rośnie. Nabierała przeświadczenia, że znajdzie się dla niej miejsce w tym nowym środowisku.

– Dave, przekażesz kolegom? Jak tylko potwierdzimy miejsce spotkania, ustalę jego datę.

– Można wywiesić ulotki w witrynach sklepowych

– zaproponowała Bron. – Jak zostawię plik ulotek na poczcie, to Maggie poprosi listonosza, żeby wrzucał je razem z listami do skrzynek pocztowych na farmach.

– Kapitalnie. – Maxi promieniała. – Dave, zawiadom mnie, jak porozmawiasz z właścicielem pubu, dobrze?

– Nie ma sprawy. Na mnie możesz polegać.

– Ach, Maxi, zanim wyjdiesz... – Bron złapała się za głowę. – Katie jest już w domu. W sobotę organizujemy grillowany lunch. Serdecznie was zapraszamy, ciebie i Jake'a.

Serce zabiło jej raźniej na myśl o perspektywie spędzenia czasu z Jakiem poza przychodnią.

– Dzięki. Coś przywieźć?

– Siebie.

– I wasze torby lekarskie – dodał David z kwaśnym uśmiechem. – Jak małolaty zaczną szaleć... to nie wiadomo, co może się wydarzyć.

– Załatwione. – Maxi pomachała im na pożegnanie.

– Dziękuję wam. Bardzo mi pomogliście.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zanosi się na piękny dzień, pomyślała, przyglądając się w lustrze swej nowej fryzurze. Bron skontaktowała ją z Kimberley, Jediną rozsądną" fryzjerką w Tangaratcie, która rzeczywiście pojęła, o co Maxi chodzi.

Tego dnia po raz pierwszy od jej przyjazdu zostali razem zaproszeni na spotkanie towarzyskie.

– Maxi... ?

Zamyślona aż podskoczyła, gdy Jake zapukał do jej drzwi.

– Już idę! – zawołała, po raz ostatni spoglądając w lustro. Po chwili wyszła do holu, gdzie niemal się z nim zderzyła.

– Gotowa? – Zaskoczony gwałtownie zamrugął.

Ona jest olśniewająco piękna! Taka... seksy. Czując dziwny ucisk w gardle, patrzył na jej piękne, opadające na ramiona włosy rozjaśnione blond pasemkami, jaśniejącą twarz i pełne wargi.

– Co się stało? – Nagle zrobiło się jej bardzo gorąco. O matko... Oblizła wargi porażona atmosferą wyczekiwania, która ich otoczyła. – I... idziemy?

– Pragnę cię – powiedział półgłosem.

– Teraz?

– To jedynie słuszne... – Westchnąwszy, dotknął czołem jej czoła. – Pod warunkiem że ty...

– Tak – szepnęła.

To mu wystarczyło. Wsunął palce w jej włosy i wargami musnął jej wargi, a ona posłusznie przyłgnęła do niego całym ciałem.

– Jake... Jacob...

– Smakujesz świeżo zerwaną miętą.

– Ty też. – Poczula ciepło jego uśmiechu na policzku, aż zamknął jej usta w namiętym pocałunku. Maxi targnęło pożądanie tak silne, że miała ochotę zedrzyć z Jake'a ubranie, posiąść go i już nigdy się z nim nie rozłączyć.

– Tak bardzo cię pożądałem... – szeptał, bezlitośnie powoli zsuwając ramiączka jej sukienki.

Stłumiła jęk w oczekiwaniu, aż Jake dotknie jej piersi i zorientuje się, jak na nią działa.

– Sypialnia – mruknął. – Twoja?

Nie mogła wydobyć z siebie głosu, więc tylko przytaknęła. Rozebrali się błyskawicznie. Gdy pociągnął ją na łóżko, opadła drżąca, czując, jak jego ciało tężeje, by zapanować nad pożądaniem.

– Zabezpieczona?

– Tak – szepnęła z twarzą wtuloną w jego szyję.

Rozpoczęli zmysłową podróż do przeszłości. Podnieceni do bólu zachłannie wracali do dawnych smaków i pieszczot, a myśli obojga koncentrowały się na pragnieniu, by za chwilę znowu zostać kochankami.

Jednak przez mgłę namiętności do Maxi przedzierały się strzępy wspomnień. Znieruchomiła.

– Maxi... ? – zapytał Jake, czując na policzku jej łzy. Nic. Wszystko. Zadrzała.

– Ciągłe mi się przypomina... ten koszmary dzień na lotnisku...

– Nie myśl o tym – przykazał jej surowym tonem. – To już przeszłość. Zapomnij i... chodź do mnie, błagam.

U szczytu na nowo rozgorzałej namiętności wziął ją w posiadanie i wówczas długie noce wypełnione tęsknotą poszły w zapomnienie. Na fali rozkoszy wznosili się coraz wyżej i wyżej, aż sięgnęli najbardziej oddalonych gwiazd.

Wyczerpani długo leżeli w milczeniu. Jake położył się na plecach, a ona oparła mu głowę na piersi. Miała wrażenie nieważkości. Czuła się syta trudnymi do opisanego doznaniem. Samymi dobrymi doznaniem.

Miała nadzieję, że Jake czuje podobnie, ponieważ ona go kocha i będzie go kochała do końca swoich dni.

– Dobrze? – Pierwszy odezwał się Jake.

– Uhm. – Otarła łzy i pogładziła go po brzuchu. – Chyba w dalszym ciągu potrafimy robić fantastyczną muzykę.

– Cudowną – ucieszył się. – Symfonia doskonała. Westchnęła uszczęśliwiona.

– Spóźnimy się na przyjęcie.

– Dla nikogo nie jest tajemnicą, że lekarze zawsze się spóźniają na spotkania towarzyskie.

– Czyżby? – roześmiała się.

– Uhm. – Pocałował ją. – To jest wpisane w ten koszmarny zawód, który oboje wybraliśmy.

– Taka dola. I znowu trzeba wziąć prysznic...

– Idę z tobą.

Powolnym ruchem uniosła rękę, żeby palcem powieść po jego wargach, aż w końcu delikatnie ją ugryzł.

– Jacob... – Jej głos zadrżał z podniecenia.

Fajerwerk pożądania wybuchł na nowo. Jake całował ją tak długo, aż pocałunki przestały im wystarczać.

– Strasznie jesteśmy spóźnieni – jęknęła, gdy jechali do Bron i Davida.

– Nie martw się. – Położył jej rękę na udzie. – Zostawię dla nas trochę jedzenia.

Poczuła ucisk w żołądku. Jedzenie nie było jej w głowie. Wszyscy się domyśla, że byli w łóżku. Zdradzi ich jej twarz. Miała zaróżowione policzki i blask w oczach. I nie mogła przestać się uśmiechać. Ratunku. Zagryzła wargi, ale uśmiech nie zniknął.

Bron i David mieszkali w przestronnym domu z bali, z szerokimi werandami. Piękny wiejski dom w starym stylu, pomyślała zachwycona.

– Zabrałeś drinki?

– Są tutaj. – Wskazał na turystyczną lodówkę, którą przewiesił sobie przez ramię. – Zajdziemy od tyłu, bo tam będzie najludniej.

– Sporo tu samochodów.

– Wszyscy przyjaciele i sąsiedzi. W buszu nikt nie narzeka, że musi jechać kilkadziesiąt kilometrów na bankiet.

Gdy Jake otworzył drewnianą furtkę prowadzącą do ogrodu, ze zdenerwowania rozboleła ją brzuch.

– Może powinniśmy przyjechać osobno? – Rzuciła mu zaniepokojone spojrzenie. – Nie śmieję się! – syknęła, gdy podniósł dłoń do ust.

Ale nie było jej dane dłużej się martwić, bo z werandy dostrzegła ich gospodyni.

– Witajcie! – Po schodkach zbiegała im naprzeciw Bron. – Co was tak długo zatrzymało?

– Hm... – Maxi wzięła głębszy wdech. – Coś nam wypadło.

Jake uśmiechnął się leniwie.

– Powiedzmy, że był to nagły przypadek.

– Ach, jakiś nagły przypadek. – Po trawie szedł ku nim David z szerokim uśmiechem na twarzy i szczypcami do grilla w ręce. – Jest jeszcze masa jedzenia. Czeka na was.

– Dzięki. – Jake serdecznie klepnął Davida po ramieniu. – Prawdę mówiąc, jestem głodny jak wilk.

Maxi poczuła, że się czerwieni i modliła się w duchu, by nikt tego nie zauważył.

– Przywieźliśmy szampana – rzuciła pospiesznie. – Niezły. Ostatni, jaki był w pubie. Podobno został po jakimś wytwornym weselu.

– O kurde – rzekł David z kamienną twarzą. – Jaką okazję świętujemy? Susza jeszcze się nie skończyła.

Maxi się uśmiechnęła.

– Uznaliśmy, że można wypić za przyjaciół...

– I kochanków – dodał szeptem Jake.

– Genialny pomysł – wtrąciła się Bron, po czym poprowadziła ich do stołów pod ciemnozielonymi parasolami. – Chodźcie, poznajcie naszą Katie.

– Bron, pięknie urządziłaś ten dom. – Dwie godziny później Maxi oraz pani domu siedziały w wygodnych fotelach w ogrodzie.

– Dawno temu stwierdziliśmy z Davidem, że Tangaratta, pomimo epidemii kurzajek, jest miejscem, w którym osiadziemy – mówiła Bron. – Więc stanęliśmy na głowie, żeby nasz dom był cichą przystanią po stresach pracy w szpitalu.

– Uważam, że się to wam udało. I zorganizowaliście takie fantastyczne przyjęcie. – Maxi powiodła wzrokiem po białych stołach z różnokolorowymi półmiskami i salaterkami, barwnymi proporczykami oraz ogrodowymi poduchami w pasy w kolach tęczy.

– Zrobiliśmy to dla Katie – zaczęła Bron melancholijnym tonem. – Te wszystkie dekoracje. Ona za kilka dni znowu wyjedzie.

Maxi spojrzała na grupkę młodzieży skupioną wokół roześmianej nastolatki. Zauważyła coś jeszcze. Brandon McCall nie odstępował Katie na

krok. Ukradkiem trzymali się za ręce i rzucali sobie wymowne spojrzenia. Brandon sprawiał wrażenie szczęśliwego i zadowolonego w jej towarzystwie. A to może oznaczać, że odzyskuje równowagę wewnętrzną.

Moment później odezwała się komórka Maxi.

– Przepraszam. – Skrzywiła się lekko. – Jestem dzisiaj na dyżurze. – Wyjęła z koszyka telefon, by wysłuchać relacji Loretty. – Bron, muszę jechać do szpitala.

– Rozumiem. Nie tłumacz się. – Bron wstała z fotela.

– Loretta jest na dyżurze?

Tak.

– Wobec tego masz dobrego pomocnika. Dziękuję, że przyjechałaś.

Uścisnęły się na pożegnanie.

– To ja wam dziękuję za wspaniałe przyjęcie. – Zawahała się. – Hm, przyjechaliśmy autem Jake'a. – Spojrzała w stronę grupki mężczyzn relaksujących się nieopodal grilla. – Chyba będę zmuszona go wam zabrać.

– Jedźcie, jedźcie. – Bron przegoniła ją gestem. – Niedługo się zobaczymy. Jak nie gdzie indziej, to w pracy – dodała z przekąsem.

– Co nas czeka? – zapytał Jake, gdy kilka minut później mknęli do Tangaratty.

– Do szpitala zgłosiła się młoda para. – W skrócie opowiedziała mu informacje przekazane przez Lorette.

– Kobieta w dwudziestym dziewiątym tygodniu ciąży. Przedwczesne odpływanie płynu owodniowego.

Skrzywił się.

– Znosi się na przedwczesny poród – mruknął, a jej zrobiło się słabo na myśl o braku nowoczesnej aparatury i wynikających stąd problemach. Znowu przyjdzie im podejmować ryzykowne decyzje.

Loretta czekała na nich przy stanowisku pielęgniarek.

– Dobrze, że jesteście. – Wcale się nie zdziwiła, widząc ich razem.

– Mów, co jest grane – odezwał się rzeczowo Jake.

– Pacjentka nazywa się Alex Vellacott, jej mąż ma na imię Zane. Od kilku tygodni podróżują w poszukiwaniu pracy.

– Nie mógł jej szukać kiedy indziej? – zachnął się. – Albo jeździć sam, zamiast wlec ze sobą ciężarną?

– Jacob, to są bardzo trudne czasy – upomniała go Maxi. – Chodźmy zobaczyć, co można dla niej zrobić. Loretto, Sonia jest osiągalna?

Loretta pokręciła głową.

– Nie. Wyjechała na weekend do Sydney. Na sześćdziesiątkę mamy.

Maxi posłała Jake'owi ponury uśmiech.

– To znaczy, że jesteśmy zdani tylko na siebie.

– Położyłam ją w zabiegowym – relacjonowała pielęgniarka – i wezwałam pogotowie lotnicze, żeby przewiozło ją do Croyden.

Po badaniu Maxi stwierdziła, że transfer do większego szpitala jest absolutnie konieczny. Płyn owodniowy nadal wypływał, prowokując nieregularne, ale bolesne skurcze.

Po konsultacji z Jakiem oboje poszli porozmawiać z Alex i Zane'em.

– Uratujecie mnie i dziecko? – zapytała kobieta. Maxi położyła jej rękę na ramieniu.

– Alex, gdyby to była tylko kwestia leżenia i pilnowania, żeby nie wdała się infekcja, moglibyśmy cię zatrzymać.

– Ale to nie... ?

– Nie, nie, Alex – przerwał jej Jake. – Wypływanie płynu owodniowego znaczy tyle, że jutro lub pojutrze może się rozpocząć poród. My tu nie mamy

sprzętu odpowiedniego dla wcześniaków, a bez tego taki maluch nie ma szans. Przepraszam, że przedstawiam to tak brutalnie.

– No cóż, w porządku – odezwał się Zane. – Dobrze, że nam pan o tym mówi. Co mamy robić?– Ujął żonę za rękę.

– Przewieziemy Alex śmigłowcem do szpitala w Croyden – wyjaśnił Jake. – Będzie pan mógł z nią polecieć. Śmigłowiec będzie tu mniej więcej za godzinę.

– A jak urodzę w powietrzu? – przeraziła się kobieta.

– To nie jest długi lot – uspokajała ją Maxi. – Mało prawdopodobne, żeby pani urodziła w trakcie tej podróży.

Kobieta przygryzła wargę.

– A jak się urodzi wcześniak, to w większym szpitalu będzie miał większą szansę?

Maxi przytaknęła.

– Zostanie umieszczony na oddziale intensywnej opieki nad wcześniakami, więc będzie miał duże szanse na przeżycie.

– Ale gdyby udało się tę ciążę ponosić jeszcze choćby dwa tygodnie, to jego szanse byłyby jeszcze większe – dodał Jake.

– Nie wiem, czy to możliwe. – Kobieta była bliska łez. – Bo znowu mam skurcz...

– Skarbie, jak ci pomóc? – wyszeptał Zane.

– Nie trzeba. – Uśmiechnęła się przez łzy. – Już przeszedł. Był bardzo słaby. I od jakiegoś czasu nie czułam żadnych skurczów. – Rzuciła mężowi zdecydowane spojrzenie. – Zane, uda się... musi się nam udać...

– Pomyślałam, że przyda się wam ta informacja. –Loretta uchyliła drzwi gabinetu. – Śmigłowiec wylądjuje za piętnaście minut.

– Dzięki – odparł Jake. – Przygotujmy Alex do podróży.

Kiedy stała obok Jake'a, gdy śmigłowiec wzbijał się w powietrze, Maxi kroilo się serce. Szkoda, że nie mogła bardziej pomóc ciężarnej oraz jej dziecku.

– Módlmy się, żeby ten maluch okazał się dzielnym wojownikiem – odezwał się Jake, jakby czytał w jej myślach.

Spojrzała na niego wymownie, po czym ruszyli w stronę szpitalnego parkingu. Jake wydawał się przygaszony, a nawet ponury. Może tak jak ją gnębił go obraz noworodka urodzonego zdecydowanie za wcześnie: przezroczystego, kruchego, delikatnego.

– Będzie problem z nie do końca ukształtowanymi płucami – mruknęła.

– I mnóstwo innych problemów. Gdyby zespołowi w Croyden udało się uzyskać jeszcze trochę czasu, maluch miałby szansę. W tej chwili możemy liczyć tylko na to.

– Alex przyznała się, że nie chodziła na wizyty kontrolne – powiedziała Maxi.

– Max, to nie nasza wina. Mogłaby mieszkać w samym centrum Sydney i to samo by ją spotkało – zauważył. – Jako lekarz powinnaś się nauczyć, że możemy zrobić tylko tyle, na ile pozwalają nam okoliczności.

– Ale tutaj...

– Co tutaj? – Chwycił ją za rękę i mocniej uścisnął.

– Z medycznego punktu widzenia niewiele możemy tu zrobić. Tangaratta jest odcięta... od wszystkiego.

Zdrętwiał. Przenikliwy chłód przebiegł mu po krzyżu. Czy ona chce go opuścić? Akurat teraz, kiedy na nowo się odnaleźli? Westchnął.

– Maxi, trudno porównywać Tangarattę z Londynem.

– Wiem. – Bezskutecznie próbowała się uśmiechnąć, ale wargi same ułożyły się jej w podkówkę. – Wiem.

– Co robisz? – zapytał.

Było niedzielne popołudnie. Minioną noc spędzili oddzielnie w swoich pokojach. Maxi powiedziała, że chce wcześniej położyć się spać i umknęła do sypialni.

Teraz Jake zastanawiał się, czy Maxi nie zaplanowała tylko jednego zbliżenia. Czy znowu mają być tylko współlokatorami? Zrobiło mu się ciężko na sercu.

Ale o nic nie będzie jej prosił.

– Układam program tego spotkania na temat zdrowia mężczyzn – wyjaśniła, gdy zajął jej przez ramię. – David obiecał załatwić salę w pubie. Bron też mi pomaga.

– Super. Na coś ci się przydam?

Zamruła. Wydawał się niezainteresowany, ale powstrzymała się od komentarza.

– Jasne.

Przysunął sobie fotel i usiadł obok niej.

– Powiedz mi, jak to widzisz.

– Na pewno inaczej niż twój wykład. – Zazdrośnie zasłoniła swoje notatki.

Uśmiechnął się gorzko.

– Mam nadzieję. Mój pomysł okazał się kompletną klapą. No, pokaż, co zaplanowałaś.

– Wątpię, czy ci się spodoba. Uznasz to za niestosowne.

– Nic takiego nie powiem, obiecuję. No, pokaż.

Oddechnęła głębiej.

– Na początku zamierzałam rozdzielić informacje na grupy wiekowe, powiedzmy młodość, wiek średni, pięćdziesiąt plus i na koniec sześćdziesiąt

pięć plus. Ale potem doszłam do wniosku, że lepiej będzie ograniczyć się do informacji bardziej ogólnych.

– Chyba tak. Przede wszystkim nie wiadomo, ilu przyjdzie oraz jakie grupy wiekowe. Tak, informacje ogólne wystarczą. Co dalej?

– Uważam, że należy podkreślić wagę corocznych badań, nawet jeśli człowiekowi nic nie dolega – powiedziała tonem znacznie odważniejszym. – Uświadomić zagrożenia.

– Okej, ale nie za ostro. – Podrapał się w brodę. – Najpierw należy zwabić ich do przychodni, a potem sprawy potoczą się same. Wystarczy dyskretna perswazja z naszej strony.

Przytaknęła.

– Trzeba im wyjaśnić, że badanie poziomu cholesterolu i pomiar ciśnienia są bardzo proste, ale niezbędne. Chcę też podkreślić konieczność badania skóry, zwłaszcza u tych, którzy pracują na słońcu. Ponieważ większość wykonuje pracę fizyczną, należy uczulić ich na sprawę szczepień, na przykład przeciwko tężcowi.

– Słusznie. Co jeszcze?

– Za nader istotne uważam przekonanie ich, że w gabinecie lekarskim mogą rozmawiać o wszystkich swoich problemach, bo mają zagwarantowaną dyskrecję.

– Oczywiście. To konieczne. Na przykład o problemach w małżeństwie, o narkotykach i o alkoholu...

– Nie można też pominąć nowotworów występujących u mężczyzn. Rak jądra w grupie osiemnasto– do trzydziestolatków występuje częściej, niż nam się wydaje. I, oczywiście, rak gruczołu krokowego.

– Trzeba uważać, żeby ich za bardzo nie przestraszyć – zastrzegł się. – Ale zgadzam się, że ten wątek bezwzględnie należy poruszyć.

– Mam świetny film na płycie. Mogę im go pokazać –entuzjasmowała się. – Rysunkowy, ale bardzo trafnie przedstawia ten problem. Przywiozłam go z Anglii.

– Widzę, że dobrze się przygotowałaś – odezwał się po chwili milczenia. Jego uwadze nie umknęła wzmianka o Anglii. Jeśli jej serce nadal bije dla Anglii... Odsunął od siebie tę niedobłą myśl.

– Muszę jeszcze podjąć decyzję, kiedy to spotkanie ma się odbyć. – Zamyśliła się. – Która pora dnia najbardziej by facetom odpowiadała?

– Nie wiem. Zapytaj Ayleen. Ona wie wszystko i o wszystkich.

– Pogadam z nią. – Wstała. – Pójdę zamarynować kurczaka na kolację. Lubisz?

– Mną się nie przejmuj. – Starannie ustawiał krzesło przy stole. – Pojadę do szpitala, bo muszę pogadać z Da-videm. Mam też spore zaległości administracyjne. Zjem coś po drodze.

Innymi słowy, nie zależy mu na jej towarzystwie. Zrobiło się jej przykro. Jeszcze wczoraj jej życie wydawało się takie piękne. Nie wiedziała, co o tym myśleć.

– Zastanawiałam się... – Przygryzła wargę. – Jak myślisz, wypada, żebym zadzwoniła do szpitala w Croyden i zapytała o Alex? Mija doba...

– Oczywiście, możesz tam zadzwonić. – Zawahał się.

– Wiesz co? Lepiej będzie, jak ja zadzwonię ze szpitala, a potem przekażę ci informacje.

– Dzięki. – Uniosła pięść z zaciśniętym kciukiem.

Gdy odjechał, pomyślała, że nie chce się jej przygotowywać żadnej kolacji. Jak ma jeść sama, to zadowoli się fasolką z puszki.

Z tą myślą udała się do pokoju do pracy, by wpisać do swojego laptopa ostateczną wersję spotkania z mężczyznami. Pół godziny później przerwała pisanie. Westchnęła.

Nie mogła się skupić na tym zadaniu, bo cały czas myślała o Alex i jej dziecku. Nie wiadomo dlaczego, wyobraziła sobie siebie w podobnej sytuacji. Koszmar. Setki kilometrów od specjalistycznej opieki i zagrożona ciąża. Przerazenie ścisnęło ją za gardło.

Przestań, uspokój się. Jedynym facetem, z którym chciałabyś mieć dziecko, jest Jake, a on do tego by nie dopuścił. Ale... takie rzeczy się zdarzają. Kto jak kto, ale ona jako lekarz wie o tym najlepiej. Że nie nad wszystkim można zapanować. Do rzeczywistości przywołał ją dzwonek komórki. Jake.

– Alex dzielnie się trzyma – rzekł ostrożnie. – Oczywiście, leży pod kroplówką, a dzieciak jest non-stop monitorowany. W dalszym ciągu zdolny do życia.

Odetchnęła z ulgą, dostrzegając promyk nadziei.

– To na razie dobra wiadomość, prawda?

– Chyba tak – odparł. – Wrócę późno. Nie czekaj na mnie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Wiem, że ustaliliśmy, że nie przyjmujemy pacjentów, którzy się nie zapisali – tłumaczyła się Ayleen, wszedłszy do gabinetu Maxi w poniedziałkowe popołudnie.

– Co się stało? – Maxi odwróciła się od komputera.

– Mam w recepcji szesnastoletnią Lily Carpenter. Przyszła prosto ze szkoły i chciałaby się z tobą zobaczyć.

– Jest naszą pacjentką?

– Tak. – Ayleen podała jej kartę.

Maxi od razu się zorientowała, że dziewczynie zależy na rozmowie z kobietą. Taka jest jej rola. Chodzi przecież o to, żeby pacjenci mieli wybór.

– Nie ma sprawy, Ayleen. Niewielu mam dzisiaj zapisanych. Zapoznam się z jej kartą i zaraz ją poproszę.

W karcie nie było nic, co wskazywałoby na poważne kłopoty zdrowotne ani kontynuację rozpoczętego leczenia. Najwyraźniej jest to sprawa prywatna.

Lily była bardzo ładną ciemną blondynką. Przywitała się uprzejmie, ale na jej twarzy nie było śladu uśmiechu, co obudziło czujność Maxi.

– Witaj, Lily. Co cię do mnie sprowadza?

– To długa historia.

– Nie szkodzi. Jesteś dzisiaj moją ostatnią pacjentką, więc nie musimy się spieszyć.

– Hm... – Dziewczyna splotła dłonie na kolanach. – Chwilowo mieszkam w hostelu stowarzyszenia kobiet wiejskich i pani Maynard mi poradziła, żebym z panią porozmawiała.

Liz Maynard. Maxi uniosła brwi.

– Słucham. Mów.

– Nie mogę się dogadać z mamą. Mam wrażenie, że ona mnie nienawidzi.

– Lily, to bardzo ostre słowa.

– To nie jest moja wybujała wyobraźnia nastolatki, naprawdę. – Lily odkaszlnęła. – Zawsze tak było, od kiedy pamiętam. Nie podoba się jej nic, co zrobię, a jak mam osiągnięcia w szkole, a uczę się bardzo dobrze, tobym oczekiwała, że będzie się cieszyła...

– A ona się nie cieszy? – Maxi przygotowała się na dramatyczne wyznania.

Lily przytaknęła.

– A tata?

– Kocha mnie bezgranicznie. – Zawahała się. – Przez co mama jest jeszcze bardziej zazdrosna. Ostatnio nie mogę zasnąć, a jak już zasnę, to śnią mi się koszmary. Próbuję się skądś wydostać, ale zawsze trafiam na mur, więc idę i idę... – Głos jej się załamał. – A jak się obudzę, to się boję.

– Rozumiem. – Maxi pospiesznie mobilizowała swoje umiejętności terapeutyczne. – Lily, muszę cię ostrzec, że nie jestem psychoterapeutką, ale myślę, że jak porozmawiamy, to razem wymyślimy, jak ci pomóc.

Na twarzy dziewczyny pojawił się cień uśmiechu.

– Pani Maynard powiedziała, że pani na pewno mi pomoże.

Serdeczne dzięki, Liz! Żebym to ja miała tyle wiary w siebie.

– Powiedz mi coś więcej o swojej mamie.

– Została adoptowana, jak była niemowlęciem. – Lily odstawiła szklanekę z wodą. – Zawsze miała żal do swojej prawdziwej matki, że jej nie chciała albo nie mogła zatrzymać. Tata mówi, że jak się urodziłam, to szalała z radości.

– Kiedy to się zmieniło?

– Trudno powiedzieć, ale pamiętam z dzieciństwa, że w jej obecności czułam się... przytłoczona, i pewnie uciekałam do taty. Ją to złościło i zawsze kończyło się kłótnią między nimi. Pamiętam, jak raz wykrzyczała, że on jej mnie ukradł. Wtedy tego nie rozumiałam, ale teraz dotarło do mnie, że ona potrzebuje pomocy. – Łzy zalśniły w jej oczach.

Bez wątpienia. I Lily doszła do wniosku, że trzeba działać, co dobitnie świadczy o jej dojrzałości.

– Kiedy przeprowadziłaś się do hostelu?

– Dwa tygodnie temu. Tata mi to załatwił. Dobrze mi tam, bo mam więcej czasu na naukę i zajęcia pozaszkolne.

– Daleko masz do domu?

– Czterdzieści kilometrów. Rodzice mają małą farmę. Tata zajmuje się niewielkim stadem bydła, ale często jest poza domem, ale ponieważ mama coraz bardziej mi dokuczała, wkurzył się i zorganizował moją wyprowadzkę z domu. Bardzo bym chciała wyjechać do szkoły w mieście. – Lily bawiła się kosmykiem włosów.

– Ale to jest nie do zrealizowania?

– Taty na to nie stać. A mama... – Lily odetchnęła głębiej. – Ciągłe się zastanawiam, co takiego zrobiłam, że ona jest taka nieszczęśliwa.

Ojej. Trzeba bardzo starannie dobierać słowa, żeby poczucie winy Lily jeszcze bardziej się nie zaostrzyło.

– Lily, nie zrobiłaś nic złego. Prawdopodobnie związek twoich rodziców nie należał do łatwych, jeszcze zanim się urodziłaś. Nie wiemy, z jakimi problemami emocjonalnymi jedno z nich albo nawet oboje zakładali rodzinę. Rozwikłanie tego wymaga profesjonalnego terapeuty. Lily pokiwała głową zrezygnowana.

– Mama na to się nie zgodzi.

– Może jeszcze nie teraz. Ale postąpiłaś bardzo rozsądnie, szukając pomocy dla siebie. Może choćby z tego powodu rodzice zaczną zastanawiać się nad sobą.

Dziewczyna gwałtownie zamrugła.

– Bardzo mi żal mamy.

– To zrozumiałe. Być może jakieś przeżycia z jej przeszłości sprawiły, że bardzo potrzebowała twojej miłości, ale z kolei jakieś jej posunięcia doprowadziły do tego, że wybierałaś tatę. To skomplikowane, ale na pewno nie ponosisz za to winy. – Maxi współczuła dziewczynie, także jej matce pogrążonej w cichej rozpacz. Ale dopóki ta kobieta sama nie dojrzeje do tego, by szukać pomocy, nikt jej do tego nie zmusi. – Czy myślisz, że by pomogło, gdybym napisała list do twojej mamy z wytłumaczeniem, dlaczego uznałaś, że wyprowadzenie się z domu jest najlepszym rozwiązaniem?

– Na to jeszcze za wcześnie – odparła Lily zdecydowanym tonem. – Ale może za jakiś czas...

– To dobry początek – uznała Maxi. – Teraz zajmijmy się twoją bezsennością. Dam ci kasetę z muzyką relaksacyjną. Masz odtwarzacz? – Lily przytaknęła. – A jak wyjdiesz ode mnie, idź do sklepu pani Maynard i poproś o zapachowe świece. Polecam te o zapachu lawendy. I wybierz kilka kolorowych poduszek, żeby ocieplić swój nowy pokój.

Lily przygryzła wargi.

– Mam małe kieszonkowe.

– Nie szkodzi – uspokoiła ją Maxi. – Pokryje to organizacja kobieca, bo do jej zadań statutowych należy pomoc rodzinom. – A jeśli zajdzie taka konieczność, sama za to zapłacę, pomyślała. – Wybierz, co ci się spodoba, a ja zadzwonię do pani Maynard, uprzedzę ją, że przyjdiesz i poproszę, żeby

załatwiła transport, jeśli twoje zakupy będą za ciężkie. A jeśli nie będzie to możliwe, to sama ci je przywiozę do hostelu. Zgoda?

– Dziękuję – odrzekła Lily onieśmielona. – Za rozmowę i za wszystko...

– Cieszę się, że mogę ci pomóc. Lily, może byś wpadła tu do mnie za dwa tygodnie?

– Z przyjemnością. Mam się już teraz zapisać?

– Tak, w recepcji. Ale jeszcze chwilę zaczekaj. Przyniosę tę kasetę.

Gdy Lily wyszła, Maxi zatelefonowała do Liz Maynard. Liz przystała na wszystkie jej propozycje. Potem Maxi zadzwoniła do Bron.

– Czy mogę wpaść do ciebie i porozmawiać w pewnej poufnej sprawie?

Wkrótce zajęła pod dom Walkerów, ponieważ Bron wzięła tydzień urlopu, by spędzić go z Katie.

– Czuję, że coś zimnego do picia dobrze ci zrobi. – Bron wyniosła tacę z napojami na werandę.

– Hm... – Maxi się rozejrzała. – Wolałabym, żebyśmy usiadły w bardziej odosobnionym miejscu.

– Spokojnie. – Bron postawiła tacę na stole. – Tylko my tu jesteśmy. David dyżuruje w szpitalu, a Katie jest u McCallów. Rano przyjechał po nią Brandon i zabrał do swoich rodziców. Katie nie wróci przed dziewiątą.

– Być może zabrzmiało to paranoidalnie, ale sprawa dotyczy pacjentki i nie chciałabym, żeby jej problemy dotarły do niepowołanych uszu.

– Dyskrecja jest moją drugą naturą – odparła z powagą Bron. – Często się moimi wypiekami.

Przy kawie rozmawiały o tym i owym, po czym Bron zapytała:

– Co cię do mnie sprowadza?

Maxi pokrótce opowiedziała jej o problemie Lily.

– Znasz tę rodzinę?

– Słyszałam o nich – przyznała Bron. – Mają niewielką farmę w Willow Bend. Myles Carpenter czasami zjawia się w szpitalu. Kiedyś przyjechał się zaszczepić przeciwko tężcowi. Sympatyczny. Jego żona ma na imię Janine, ale jej nigdy nie widziałam. Była kilka razy w szkole, jak się tu sprowadzili, ale w nic się nie angażowała. Za to znam Lily, która jest o rok starsza od Katie. Bardzo miłe dziecko. I podobno bardzo zdolna.

– Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać. Lily wspomniała, że chciałyby uczyć się w mieście, ale nie stać ich na chesne. Przyszło mi do głowy, że mogłaby wystąpić o stypendium gdzieś w Sydney. W jakiejś dobrej szkole...

– Wiele szkół proponuje stypendia – przerwała jej Bron. – Wystarczy poszukać w internecie. Jak chcesz, mogę spisać kilka adresów.

– Bardzo byś mi pomogła – przyznała Maxi w zamyśleniu. – Jesteś zadowolona ze szkoły, do której uczęszcza Katie?

– Tak, bardzo. Mam wrażenie, że niedługo ogłoszą nabór na przyszły rok. Myślę, że Lily mogłaby starać się o miejsce w tej szkole oraz w paru innych, które się jej spodobają. Oczywiście, wymagana jest zgoda rodziców.

Może zdołają to jakoś obejść. Maxi przygryzła wargę. Czy powinna aż tak angażować się w sprawy pacjentki? Jake na pewno doradziłby jej trzymać się z boku, dopóki rodzice nie rozwiążą swoich problemów. Ale do tej pory się z nimi nie uporali, a Lily zasługuje na pomoc.

– Wiesz co? Chyba jeszcze gdzieś mam te informatory z zeszłego roku, kiedy Katie składała podanie. Weź je i przeczytaj, a potem przekaż Lily, jak się z nią spotkasz. Od czegoś trzeba zacząć.

Po wizycie ostatniego pacjenta Jake wyszedł z gabinetu. Gdy oddawał do recepcji jego kartę, Ayleen podniosła na niego wzrok.

– Maxi jeszcze zajęta? – zapytał.

– Wyszła już dawno temu. – Odłożyła kartę na miejsce. – Miała jakąś pilną sprawę.

Zdrętwiał. Załatwia powrót do Anglii? Kompletnie nie wiedział, co dzieje się w jej głowie. Owszem, kochali się, ale od tej pory dystans między nimi wyraźnie się pogłębił. Nie będzie dłużej czekał. Porozmawia z nią poważnie, jak tylko Maxi wróci. I podejmą konkretne decyzje, nawet jakby mieli rozmawiać do bladego świtu.

– O biedaczku – wyrwało się jej, gdy Chalky radośnie się z nią witał. Spojrzała na zegarek.

Jeszcze zdążą pobiegać przed zmrokiem. Wyjęła torbę z bagażnika i wbiegła na werandę. Stała jak wryta, bo na jednym z leżaków leżał Jake z puszką piwa w ręce.

– Cześć. – Zaschło jej w gardle. – Wcześniej wróciłeś.

– Od czasu do czasu przysługuje mi takie prawo.

– Daj spokój. – Zaczerwieniła się. – Przebiorę się i pobiegam z psem.

– Psu nic się nie należy. – Wzruszył ramionami. – Biegałem z nim dokoła domu. Nalej sobie wina i przyjdź tu do mnie na werandę.

Przestraszyła się. Było coś nieprzyjemnego w jego głosie, co kazało jej zdwoić czujność.

– Dobrze – odrzekła po chwili namysłu.

– Sukces? – zapytał niewinnym tonem.

– Słucham?

– Ayleen powiedziała, że miałaś coś ważnego do załatwienia.

Zauważył, że jej spojrzenie nieco przygasło, ustępując miejsca czemuś, co przypominało poczucie winy.

– Ach, to. – Machnęła ręką. – Zaraz ci o tym opowiem. – Pospiesznie umknęła do kuchni.

Patrzył za nią smętnie, dopijając piwo, a w głowie kłębiły mu się różne myśli. Czy już podjęła decyzję o wyjeździe? Kiedy w końcu mu o tym powie?

Nalewając wino, zorientowała się, że drżą jej ręce. Musi się uspokoić. Ale na myśl o kolejnej konfrontacji, podobnej do tej z powodu Brandona McCalla, rozboleł ją brzuch.

Ale teraz sytuacja jest inna. Sprawa Lily nie wymaga nadzwyczajnej ostrożności. Ale chyba ona ma prawo do autonomicznego podejścia do pacjenta?

Utwierdziwszy się w tym przekonaniu, ruszyła z kieliszkiem na werandę.

– Mogłam ci przynieść nowe piwo z lodówki – powiedziała na widok zgniecionej puszki.

– Jestem pod telefonem, jedno musi mi wystarczyć.

Jasne. Uśmiechnęła się z pewną rezerwą, po czym odważnie przeszła do rzeczy.

– Znasz rodzinę Carpenterów?

Chyba zaskoczyła go tym pytaniem, bo przez chwilę się zastanawiał.

– To oczywiste, że lekarz poznaje wszystkich swoich podopiecznych. Znam Mylesa i jego córkę...

– Lily, prawda? Była dzisiaj u mnie. Mam wrażenie, że ta mała dźwiga na swoich barkach cały ciężar rodziny dysfunkcyjnej.

– Powiedz mi coś o niej. – Usiadł wygodniej.

– Tyle udało mi się zrobić – zakończyła swoją relację.

Jake się zamyślił.

– Jeśli słowa Lily są tylko w połowie prawdą, to to, co się tam dzieje, graniczy ze znęcaniem się nad dzieckiem.

Maxi się zaniepokoiła, bo Lily na pewno nie życzyłaby sobie interwencji ze strony służb socjalnych.

– Mam wrażenie, że z pomocą ojca całkiem nieźle sobie radzi. Teraz, kiedy zniknęła ze sceny, być może rodzice zajmą się rozwiązaniem swoich problemów. Najlepiej byłoby, gdyby poszli do psychologa, a przynajmniej do poradni rodzinnej. Ale tutaj nie ma co na to liczyć.

Jake zacisnął wargi. Ona znowu swoje. Nie życzył sobie, żeby wyrzucano mu warunki, w których przyszło im pracować. Znał je na wylot.

Ale praca służby zdrowia w kraju tak dużym jak Australia nigdy nie będzie prosta. Chyba że matka natura postara się zmienić ukształtowanie całego kontynentu. Spojrzał Maxi prosto w oczy.

– Bo w systemie są luki. Jak myślisz, co ja mogę na to poradzić?

Nie spodziewała się takiej reakcji.

– Pewnie nic. Chyba dałam się ponieść emocjom. Praca w takich warunkach jest nader frustrująca.

– Mnie to mówisz? – zachnął się. – Taka sytuacja wszędzie byłaby frustrująca. Dopóki oni sami nie zaczną szukać pomocy, lekarz nie ma nic do powiedzenia. Maxi, chyba już powinnaś się przyzwycząić do braków systemu ochrony zdrowia w buszu. A jeżeli nie potrafisz tego zaakceptować, to może powinnaś się zastanowić, co tu robisz?

Wyzwanie czy bezpośredni atak? Tak czy owak, bardzo zaboląły ją te słowa. Smutek ścisnął ją za serce, ale nie dała zbić się z tropu. Jake chce odpowiedzi, to ją dostanie.

– Jacob, przyjechałam do buszu z powodu tego, co nas kiedyś łączyło. Wydawało mi się, że nawet dla ciebie jest to jasne.

Roześmiał się ponuro.

– Po dwóch latach milczenia? Co mam teraz myśleć? Kochałaś się ze mną kilkanaście godzin temu, ale teraz jest tak, jakby to się w ogóle nie

zdarzyło. Znikasz gdzieś bez słowa, traktujesz mnie, jakbym był niewidzialny. W moim mniemaniu tak nie zachowuje się osoba, która kocha.

– Miałam... różne sprawy na głowie – tłumaczyła się. – I wbrew temu co myślisz, miałam ważne powody, żeby nie spieszyć się z wyjazdem z Anglii.

Zmrużył oczy.

– Na przykład? Poznałaś kogoś i chciałaś sprawdzić, co z tego wyniknie?

– Nie. Nic takiego. Chciałam być z tobą. Uniósł ręce w geście zniecierpliwienia.

– To co cię zatrzymywało? Pieniądze? Przecież byłem skłonny zapłacić za twój przelot.

Potrząsnęła głową. Wyczuła, że nadszedł czas przełomu. Musi mu o wszystkim powiedzieć i jemu pozostawić decyzję. Ale nie teraz, kiedy wygląda jak ryś gotowy do skoku.

– Wejźmy do środka – zaproponowała, wstając z fotela. Jej kieliszek stał na stole nietknięty. Uznała, że do tej rozmowy musi zachować jasność umysłu.

Przenieśli się na kanapę w salonie, po czym usiedli na jej przeciwległych końcach. Jak wrogowie, pomyślała.

– To długa historia. – Odetchnęła głęboko. – Tydzień po twoim wyjeździe u Luke'a zdiagnozowano mięsaka Ewinga.

Mięsak Ewinga?! O Boże. To wyjątkowo złośliwy nowotwór, który atakuje kości oraz tkanki. U Luke'a? Jej brata bliźniaka? Panie święty. Z przerażeniem spoglądał na jej zaciśnięte wargi. Jej brat... nie żyje? Nie powinien był tak źle o niej myśleć. Zawstydził się, po czym bez namysłu przysunął się do niej, by wziąć ją za rękę.

– Max, bardzo mi przykro...

– To była gehenna – odparła drżącym głosem.

Jake też był poruszony.

– Luke nie... ?

– Nie, nie umarł. – Uśmiechnęła się blado. – Somersowie łatwo się nie poddają. Remisja trwa.

– Dlaczego mnie nie zawiadomiłaś?

Wzruszyła ramionami.

– Jacob, co by to dało?

– Bym cię wspierał.

– Po tym, jak się rozstaliśmy, uważałam, że nie mam do tego prawa.

– Że nie masz prawa?! Po tym, jak poprosiłem cię o rękę? O to, żebyś spędziła ze mną resztę życia? – Westchnął ciężko. – Nie ufałaś mi, tak?

– Mylisz się. – Serce jej pękało. – Zawsze ci ufałam. Nie ufałam sytuacji między nami. Temu, jak nagle to się stało. Nie wiedziałam, czy to miało jakiś realny sens... – Spoglądała na ich splecione palce.

– Z perspektywy czasu chyba już potrafię na to spojrzeć twoimi oczami – odezwał się po dłuższej chwili.

– Byliśmy z dwóch krańców świata. Nie było to łatwe... ale ja nie dawałem ci wtedy żadnego zabezpieczenia, tak? – Przytaknęła, a on zacisnął mocniej palce na jej dłoni. – Domyślam się, że diagnoza Luke'a musiała być dla was wielkim wstrząsem, bo ten nowotwór zazwyczaj atakuje ludzi młodszych.

– Zazwyczaj. — Pokiwała głową. – Kiedy Luke mi pokazał niewielki guzek pod kolanem, natychmiast wysłałam go do profesora Blanforda, tego, który pracował w naszym dawnym szpitalu.

– Słusznie. Domyślam się, że potem lawinowo posypały się nieprzewidziane komplikacje.

– Tak. – Jak lekarz lekarzowi opowiedziała o zastosowanej terapii, o nieskończonych godzinach spędzonych przy bracie, o wysiłku włożonym w bagatelizowanie przykrych skutków ubocznych chemioterapii. O życiu w zawieszeniu, dopóki Luke nie wrócił do zdrowia.

– Jaka jest szansa, że nie będzie wznowy? – zapytał.

– Około osiemdziesięciu pięciu procent.

– Teraz Luke jest w okresie remisji?

– Tak. Jednak z rakiem nigdy nic nie wiadomo, ale Luke jest uparty.

– Tak jak ty.

Roześmiała się.

– Może w niektórych sprawach...

– W większości – poprawił ją. – Pokonałaś tysiące kilometrów, żeby być ze mną. To wymaga nie lada uporu.

Gdyby on wiedział... Może jednak wie.

– Na długo musiałam zapomnieć o podróży do Australii. Musiałam zostać w domu. Jestem jedynym lekarzem w rodzinie, więc byłam im potrzebna.

– To zrozumiałe. – Znał ją na tyle, że wiedział, że nie tylko wspierała brata, ale także resztę rodziny. Mimo radości, jaką daje liczna rodzina, to przysparza ona również kłopotów. No ale on nie jest autorytetem w tej kwestii. Praktycznie prócz matki nikt więcej się nim nie interesuje. Może teraz... jeszcze Maxi.

Wpatrywał się w nią, jakby chciał wziąć na siebie jej smutek, jednocześnie zawstydzony swoim wcześniejszym rozdrażnieniem. Wyobrażał sobie, ile energii musiała z siebie wykrzesać, żeby być opoką dla całej rodziny.

– Pomógłbym ci, gdybyś mi pozwoliła.

– Teraz to wiem. – Delikatnie pogładziła go po ramieniu. – Dobrze w tym wszystkim jest to, że Luke wrócił do pracy, do biura projektów, na razie jest w kreślarni, ale nie wyobrażam sobie, żeby go długo utrzymali z dala od placu budowy.

– Takiego zdolnego architekta? Na pewno im to nie wyjdzie. – Uśmiechnął się. – Pozostali mają się dobrze?

– Mniej więcej. I dlatego uznałam, że teraz mogę do ciebie przyjechać.

– Nie wiedząc, co zastaniesz – wyrzucił przez ściśnięte gardło. – Mogłem się ożenić.

– Mogłeś. Dopiero w Sydney się dowiedziałam, że w dalszym ciągu jesteś wolny.

– Dlaczego dopiero w Sydney? – zdziwił się.

– Kiedy zadzwoniłam do twojej matki, zaprosiła mnie na lunch. I wtedy mi powiedziała.

– Rozumiem...

– Mam nadzieję. – Nie mogła oderwać od niego wzroku. – Jacob, moja podróż do Australii nie była kaprysem. – Przyjechałam tu, bo cię kocham, dodała w myślach. I zawsze będę cię kochać.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Trzy tygodnie później siedzieli przy kuchennym stole.

– Aż nie mogę uwierzyć, jak szybko udało się to zorganizować – powiedziała Maxi. Nawiązała do spotkania poświęconego zdrowiu mężczyzn, które miało się odbyć w nadchodzący piątek.

Jake dyskretnie się uśmiechnął. Twarz Maxi promieniała zapałem, więc modlił się w duchu, by stawiło się wystarczająco dużo zainteresowanych.

– Nasłuchiwałem, co w trawie piszczy. I nie słyszałem, żeby ktokolwiek powiedział, że nie przyjdzie.

– To już coś. – Bawiła się długopisem. – Ale to jeszcze nie znaczy, że będą waliły tłumy.

– Dobrze wróży wybór pubu na miejsce spotkania – zauważył, siląc się na entuzjazm. – Ci, którzy normalnie przyjeżdżają do Tangaratty w piątkowy wieczór na piwo i snookera, z ciekawości zajrzą na twój wykład. Wystarczy, że dwóch, trzech się załapie, a reszta pójdzie za nimi.

– Jak stado owiec.

– Ociągających się owiec.

– Dobrze i to. Poczekamy, zobaczymy. Jestem ci bardzo wdzięczna, Jacob, za pomoc przy tym spotkaniu.

Wzruszył ramionami.

– Każde przedsięwzięcie zasługuje na drugą szansę.

Oni też? Przeszli długą drogę, Maxi nadal jednak czuła instynktownie, że nic nie jest pewne. Stali się sobie jeszcze bardziej bliscy, ale żadne się nie zadeklarowało. Starła się tego nie analizować, pozwalając im kierować się tym, co na nowo odkryli.

Jake szczerze żałował, że nie zna jej myśli. Wpatrując się w jej wargi, nie zdawał sobie sprawy, że wzrok pociemniał mu z pożądania. Kochał ją, pragnął jej, chciał z nią budować nowe życie. Ale czy ona myśli o tym samym? Czy może oboje w dalszym ciągu błędzą, ciesząc się tym, co mają? Po raz nie wiadomo który chciał poprosić ją, by się ostatecznie zadeklarowała. Bo jak nazwać to, co ich łączy? Gorący romans? Nie, to coś więcej. Tak podpowiadała mu intuicja. Raz już się jej oświadczył i czym się to skończyło? Dwuletnią rozłąką, która niemal zabiła ich emocjonalnie.

– Wczoraj przypadkiem u fryzjera spotkałem Mylesa Carpentera – rzucił od niechcenia. – Wyobraź sobie, czytał jedną z ulotek, które wczoraj tam zostawiłaś.

– Naprawdę? – ucieszyła się. – Powiedział, że przyjdzie na spotkanie?

Uśmiechnął się rozbawiony.

– Maxi, twardzi faceci nie rozgłaszają swoich decyzji, ale zapewnilem go, że będzie ciekawie. Gdyby zdecydował się poszukać pomocy, może niedługo mógłby zacząć rozwiązywać swoje problemy rodzinne.

Przytaknęła. Pod warunkiem, że Myles by się zjawił na spotkaniu. Gdyby choćby tylko jemu się przydało, uznałaby, że jej wysiłek nie poszedł na marne.

– Ktoś już jest? – Maxi zapytała Bron.

W piątkowy wieczór siedziały w pubie, w pokoju sąsiadującym z salą weselną.

– Paru już przyszło – odpowiedziała ostrożnie Bron.

– Ale jeszcze mnóstwo czasu...

Maxi spojrzała na zegarek.

– Może gdyby zaproszenie było na wcześniejszą godzinę albo późniejszą...

– Wcześniej nie miałyby sensu – prychnęła Bron. – Ci z odległych osiedli muszą mieć czas, żeby po pracy się umyć, przebrać i tu dojechać. Później też byłoby źle.

– Wiem, wiem. Setki razy o tym rozmawialiśmy. – Westchnęła. – Bron, dziękuję, że jesteś głosem rozsądku.

– Nie ma sprawy. Przyjaciołom nie liczę.

– Gdzie Jacob? – denerwowała się Maxi. – Powiedział, że przyjdzie.

– Na dole w barze.

– W barze?! – Czowała, że traci kontrolę nad sytuacją.

– Co on tam robi?

– Spokojnie. – Bron machnęła ręką. – Jak go znam, pije sok pomarańczowy i agituje jak szalony.

Serce się jej ścisnęło. To bardzo szlachetnie z jego strony. Robi to dla niej, bo chce oszczędzić jej rozczarowania.

– Taki lekarz to skarb, prawda?

– Ze świecą takich szukać – potwierdziła Bron. – Doskonale wyczuwa nasze specyficzne potrzeby.

Jak w takim układzie miałyby go poprosić, by wyjechał z Tangaratty, pomyślała z bijącym sercem.

– Co sądzisz o dzisiejszym wieczorze? – zapytał Jake kilka godzin później, gdy wracali do domu.

– Hm... Chyba całkiem udany.

– Całkiem udany? Kobieto, byłaś rewelacyjna!

– Naprawdę? Odniosłam wrażenie, że im się podobało.

– I to bardzo. Sądzę, że w konsekwencji lista mężczyzn zgłaszających się do nas zdecydowanie się wydłuży.

– Do ciebie. Wątpię, żeby do mnie walili drzwiami i oknami.

– Uważaj, bo się zdziwisz.

– Tak myślisz?

– Uhm. Jesteś w ich typie. W moim też. – Lekko uściśnął jej dłoń.

– Dzięki, Jake. – Spojrzała na niego rozanielona.

– Za co?

– Za ten wieczór, za to, że tak dzielnie agitowałeś, że namawiałeś ich, żeby choć zajrzeli.

– Większość została do samego końca – zauważył. – Nawet Myles Carpenter chwilę posiedział. Mam nadzieję, że wyniósł coś pozytywnego.

– Lily napisała wnioski o kilka stypendiów i liczy, że któreś dostanie. Sama myśl, że wyjedzie do szkoły, zmieniła ją nie do poznania.

– Dzięki tobie. – Uniósł jej dłoń do warg. Roześmiała się.

– Szkoda, że nie umiem wywoływać deszczu, bo po moim wyjeździe wystawiliby mi pomnik.

Na te słowa serce w nim zamarło. Maxi daje mu do zrozumienia, że jej czas tu się kończy? Już miał zażądać wyjaśnień, ale zaschło mu w gardle. Nie, nie będzie o nic pytał. Bo nie chce tego wiedzieć.

W poniedziałkowy poranek była w połowie listy pacjentów, gdy zadzwonił Jake.

– Rozmawiałem ze szpitalem w Croyden. Alex urodziła córeczkę. Przez cesarskie cięcie. Dziewczynka jest mała, ale jest nadzieja, że przeżyje.

– Wspaniałe wieści! – zawołała rozradowana. – Tych kilka tygodni dobrze jej zrobiło. Och, Jake, możemy posłać jej kwiaty?

Roześmiał się pobłaźliwie.

– Pogadaj z Ayleen. Ona to załatwi. Hm... mało mamy dzisiaj pacjentów. Może byśmy po południu przejechali się do Wonga Springs? Nie chcesz popływać?

Na skórze rozgrzanej upalnym dniem poczuła kojący chłód źródlanej wody. Boskie doznanie.

– Hm, chyba... – Zawahała się. – Muszę pojechać do domu po kostium.

– Jeśli uważasz to za konieczne... I tak natychmiast cię rozbiore – dodał zmienionym głosem.

– Obiecanki cacanki... — wyrwało się jej. Jednocześnie zaszumiało jej w głowie. – Do zobaczenia w domu. – Pospiesznie zakończyła rozmowę.

Jake żartował, wmawiała sobie jakiś czas później, leniwie unosząc się na wodzie. Drugi raz nie napomknął o kąpielu w stroju Adama, a poza tym sam jest w kąpielówkach. A może ma ją za świętoszkę? Na pewno nie. Tyle razy się kochali, że na pewno o niej tak nie myśli. Ale komu by przeszkadzało, gdyby pływała tu, gdzie patrzy na nią tylko kilka krów, bez kostiumu? Jake'owi by się to spodobało? A jej?

Zastanawiając się nad tym, położyła się na plecach. Okazało się, że Jake też leży na wodzie.

– Jak w raju, prawda? – westchnęła.

– Uhm. – Spojrzał na nią.

Raj. O tym marzył. Żeby z nią dzielić życie, razem cieszyć się błękitem nieba, chłodem wody, intensywnym zapachem eukaliptusów oraz innymi zapachami buszu, które teraz atakowały jego zmysły. Miał ochotę zawołać:

To jest mój kraj! Mój kraj.

– Maxi... ? – Delikatnie chlapnął wodą na jej dekolt. – Otwórz oczy.

– Mam otwarte.

– Co widzisz?

Patrzyła na migoczące sklepienie z zielonych liści. Co mu odpowiedzieć? No, jak to takie dla niego ważne...

– Widzę liście, niebo i... jeszcze więcej nieba.

– Nic poza tym? – obruszył się.

– Domagasz się poezji?

– Jasne.

Ze śmiechem zamachnęła się na niego, ale okazał się szybszy, wciągając ją pod wodę. Skończyło się na tym, że ociekając wodą, splotła mu ręce na szyi. Rozbawieni dotknęli się czołami i pocałowali.

Zmiana zaszła tak nagle, że Maxi nawet się nie zorientowała, kiedy drugi, pozornie niewinny pocałunek stał się namiętny, dłonie Jake'a zsunęły jej ramiączka kostiumu, a ona sama pospiesznie uwolniła się z krępującego ją stroju.

Było tak cudownie, że zastanawiała się, skąd wzięły się jej wcześniejsze wątpliwości i wahanie.

Jej zachwyt Jake odnotował z typowo męską satysfakcją. W ułamku sekundy ściągnął spodenki i wysokim łukiem rzucił je na brzeg.

– Przyjemnie?

– Bosko. – Przyłgnęła do niego, wszystkimi zmysłami chłonąc kontakt z jego umięśnionym ciałem, pieszczotę wody i szelest drzew. Delektowała się pocałunkiem zmysłowym i słodkim.

– Maxi...

Przyciągnął ją do siebie jeszcze mocniej. Gdy zadrżała, wyszeptał jej imię, po czym lekko ją uniósł, by z nim się połączyła. Słyszając jej stłumiony jęk rozkoszy, zareagował błyskawicznie. Czuł, jak jego ciałem wstrząsają kolejne spazmy, pchając go ku krawędzi otchłani. Razem się w niej zanurzyli, gdy z jej gardła wyrwał się tłumiony krzyk.

Niedługo potem się rozłączyli, ale Jake nie zwalniał uścisku.

– Maxi, czy może być piękniej? – szepnął, opierając brodę na jej głowie.

– Chyba nie. – Uśmiechnęła się nieśmiało, po czym się rozejrzała. Słońce chyliło się ku zachodowi. – Długo tu jesteśmy?

– Wieczność. Chcesz już wyjść?

Przytaknęła, nagle skrepowana swą nagością, a on wyniósł ją na brzeg, gdzie od razu owinęła się ręcznikiem. Od razu lepiej się poczuła.

– Mam uwierzyć, że jesteś nieśmiała?

– Zimno mi było – mruknęła i nie patrząc na niego, skryła się za samochodem, by się ubrać.

Wróciwszy w džinsach i T–shircie, zauważyła, że Jake się śmieje.

– Co cię tak rozbawiło? – zapytała nadąsana.

– Nic. – Wrzucił ich mokre stroje do torby. – Jedziemy?

– Tak. – Rozczesywała palcami mokre włosy. Gdy zadzwoniła jego komórka, rzuciła mu pełne rezygnacji spojrzenie.

– Koniec tak pięknie rozpoczętego wspólnego popołudnia – mruknął, przykładając aparat do ucha.

Obserwowała go z uczuciem żalu. Na dwie godziny mogli zapomnieć o odpowiedzialności, jaka spoczywa na lekarzach w buszu. Ale prawdę mówiąc, oni nigdy nie mają wolnego. Co teraz ich czeka? Pospiesznie wsiadała do auta.

Chwilę później Jake zapalił silnik.

– Nathan, synek Karryn, zniknął – rzucił przez zęby, gdy wjeżdżali na drogę główną.

– Jak długo go nie ma? – Strach ścisnął ją za gardło.

– Karryn nie potrafi powiedzieć. Normalnie, jak po południu robi się chłodniej, Nate i Belinda wychodzą na dwór się pobawić, ale dzisiaj Belinda zostawiła małego i wróciła do domu, żeby zajrzeć do niemowlęcia.

– I nie powiedziała o tym mamie?

Pokręcił głową.

– Karryn była zajęta w kuchni. Kiedy wyszła zawołać ich na mycie, Nathana nie było. I psa nie ma.

– To dobrze czy źle? – zapytała.

– Trudno powiedzieć. – Na skrzyżowaniu Jake skręcił do Westwood. – Można przyjąć, że pies będzie biegał w poszukiwaniu przygód, a Nate pójdzie za nim.

– Podejrzewasz, że są już daleko?

Ściągnął brwi.

– Na to się zanosi.

– Ale Nathan ma cztery lata. Takie małe nóżki szybko się zmęczą i będzie zmuszony odpocząć. Przysiądzie gdzieś i będzie czekał, aż ktoś po niego przyjdzie.

– Nie połapie się, że zabłądził. A jak pies zwęszy bydło, pójdzie prosto przed siebie, a mały za nim.

– Jeżeli to jest dobry pies, to będzie go pilnował. – Starła się podnieść go na duchu.

– Możliwe. – Mocno zacisnął wargi. – Teren jest tam bardzo nierówny, miejscami zarośnięty. Jeżeli Nathan gdzieś się przewrócił, to trudno będzie go znaleźć. Mamy jeszcze tylko godzinę, bo potem zrobi się ciemno.

– Gdyby tak się stało, to pies zaalarmowałby ludzi szczekaniem.

– Możliwe. – Nie chciał być adwokatem diabła, ale starał się przygotować na najgorsze.

Busz nie jest miejscem dla małych dzieci. Wszędzie pełno sadzawek, teraz wyschniętych, ale zawsze bardzo atrakcyjnych dla chłopców. W każdej chwili może dojść do tragedii. Wypadki utonięć na farmach zdarzały się wystarczająco często, by takie zaginięcie napawało go niepokojem. Nie, nie wolno ulegać czarnym scenariuszom.

– Jacob, jaka rola przypada nam lekarzom?

– Pomagać, jak się da i gdzie się da. Pójdę z ludźmi go szukać na wypadek, gdyby coś mu się stało.

Oby nie najgorsze.

– Wobec tego ja zostanę z Karryn w Westwood.

– Tak to widzę. W ich domu będzie punkt dowodzenia, bo z zewsząd zjadają się ludzie. Koło gospodyń będzie towarzyszyć Karryn oraz zadba o jedzenie i picie dla ekip poszukiwawczych.

– To już nie pierwsza taka akcja w twojej karierze.

– Któraś z rzędu. Normalnie gubią się tu turyści. Nikomu nie życzę zablądzić w takim terenie.

Obejmując wzrokiem ludzi zebranych na podwórzu przed domem Karryn i Deana, na dobre się przestraszyła. Do tej chwili łudziła się, że zanim Jake i ona tam dojadą, chłopiec już się odnajdzie.

– Jeżeli go nie znajdziecie do zmroku, to co zrobicie?

– zapytała, gdy zaparkował obok półciężarówki Deana.

– Odwołacie poszukiwania, a rano zaczniecie od nowa?

– Skądże. Mamy sprzęt, który reaguje na ciepło.

– Proszę, uważaj na siebie.

– O mnie się nie martw. – Wyraźnie zniecierpliwiony wysiadł z auta. – Opiekuj się Karryn i Belindą. To jest twoje zadanie.

– Powodzenia! – zawołała za nim, ale chyba nie usłyszał, bo już doganiał wychodzącą grupę poszukiwawczą.

Wysiadła z auta z mieszanymi uczuciami. To trudna kraina, niewdzięczna. Męski świat. I Jake idealnie się weń wpasował. Ta myśl nie podniosła jej na duchu.

Nie wolno jej poddawać się pesymizmowi. Teraz najważniejsza jest Karryn.

Ruszyła do domu, do kuchni.

– O, Maxi! – Liz podniosła wzrok znad tacy z kanapkami. – Jake jest z tobą?

– Poszedł szukać małego. – Maxi rozejrzała się po kuchni. – W czym wam pomóc?

– Sama twoja obecność na wszystkich działa kojąco – odezwała się Liz.

Speszył ją ten komplement, tym bardziej że wcale nie miała ochoty znaleźć się w tej kuchni.

– Pomyślałam, że mogłabym porozmawiać z Karryn.

– Karmi małą. – Liz wycierała ręce. – Pójdę z tobą.

– Jak ona to przyjęła? – zapytała Maxi zbolalym głosem, gdy szły korytarzem do pokoju dziecięcego.

– Karryn to twarda baba. Silniejsza od niejednej z nas.

Maxi zamilkła na dłuższą chwilę, bo nagle poczuła, że to nie dla niej. Ona i Karryn są diametralnie różne, mają kompletnie inne doświadczenie życiowe. Byłoby bezczelnością z jej strony uważać, że ona, nawet jako lekarz, ma cokolwiek do zaoferowania matce z buszu w chwili kryzysu.

Liz zapukała do drzwi.

– Karryn bardziej przejmuje się Belindą, bo mała ma wyrzuty sumienia, że nie dopilnowała braciszka.

Ojej, przeraziła się Maxi. Jak do tego podejść?

– Gdzie teraz jest Belinda?

– Z dziećmi Jennifer. Oglądają bajki na wideo. – Liz otworzyła drzwi. – Karryn, masz gościa. Przyjechała nasza pani doktor. – Skinęła na Maxi. – Wejdz. Zaraz wam podam herbatkę.

– Witaj, Maxi. – Karryn zdobyła się na uśmiech. –Dziękuję, że przyjechałaś tu taki kawał drogi.

Maxi patrzyła, jak Karryn kończy karmić, po czym całuje synka w głowę.

– Daj mi go. – Maxi wyciągnęła ramiona po dziecko. – Położę go do łóżeczka.

– Dzięki. Z powodu Belindy staram się, żeby wszystko było jak zawsze. Gdyby nie to, poszłabym z innymi go szukać... – Bezradnie spojrzała na swoje ręce. – Nie wiem, czy znowu go przytulę, poczytam mu bajki, wykąpię go...

– Karryn, na pewno jeszcze go wykąpiesz – wykrztusiła Maxi. – Nate się znajdzie. Nasi mężczyźni go odszukają.

– Tak, wiem. Na szczęście ma na sobie jasną koszulkę.

– To dobrze?

– Jest bardziej widoczna. – Karryn wstała z fotela i rozejrzała się bezradnie. – Chyba pójdę do Belindy. Zabiorę ją na spacer...

– Iść z wami? – brnęła Maxi.

– Oczywiście. Poproszę Jennifer, żeby popilnowała małego.

O dziesiątej w nocy Maxi ogarnęło zwątpienie. Wydawało się jej, że znalazła się w środku koszmaru, a to, co wydarzyło się z Jakiem w rozlewisku, jawiło się jej jak sen. Czy w ogóle tam byli? – zastanawiała się, gdy kolejna grupa szukających zbierała się do wyjścia w busz, żeby ich poprzednicy mogli chwilę odpocząć. Oprócz Jacoba i Deana. Intuicja jej podpowiadała, że ci dwaj nie spoczną, póki nie znajdą Nate'a.

Sytuacja zaczynała ją przerastać. Na szczęście Belindą zasnęła, ale Karryn stanowczo odmówiła przyjęcia łagodnego środka uspokajającego i raz po raz spoglądała w mrok nocy.

Dzwonek komórki Maxi poderwał wszystkich.

– Jakież wiadomości? – Podbiegła do niej przerażona Karryn.

– To Jake. – Maxi podała jej telefon. – Chce z tobą rozmawiać.

O Boże, a jeżeli... ?

– Znaleźli go! – zawołała Karryn łamiącym się głosem. – Jest cały i zdrowy.

Wszystkie kobiety jak na komendę zaczęły krzyczeć i ścisnąć się nawzajem.

Gdy zamieszanie ustało, odezwała się Karryn:

– Jake powiedział, że będą za dwadzieścia minut.

– Więc teraz parzymy herbatę – przemówiła praktyczna Liz. – Będą głodni jak wilki.

Potem wszystkie wyległy przed dom.

– Idą! – zawołała któraś z nich, nim Maxi ich usłyszała. Mimo to dołączyła się do powitalnego okrzyku, gdy między drzewami zamigotały ich latarki, potem cofnęła się o krok, bo ta chwila należała do Karryn i Deana.

– Maxi... W porządku?

Ledwie rozpoznała Jake'a całego umazanego czerwonym pyłem.

– Chyba tak... A ty? – Płakała z radości. – Nathan?

– Skręcił kostkę. – Jake uśmiechnął się ironicznie. – Miałaś rację co do psa. Pilnował go. A kiedy nas zwietrzył, ujadął tak głośno, że umarłego by obudził. Mądry kundel.

– Od tej pory pewnie będzie najlepszym przyjacielem Nate'a. – Powinno zrobić się jej lżej na sercu, ale się nie zrobiło. Może przyjdzie to nieco później, pomyślała. Dziecko się znalazło, czego chcieć więcej? Gestem zaprosiła Jake'a na werandę. – Zjedz coś. Teraz ja się nim zajmę.

– Dzięki. Dobrze, że tu jesteś, Maxi – dodał zmęczonym głosem.

Te słowa na długo zostały jej w pamięci. Zbadala Nathana, ale oprócz niegroźnych zadrapań nie doszukała się niczego więcej.

– Kostka szybko przestanie mu dokuczać – zapewniła Karryn. – Ale dobrze by było, żeby przez kilka dni nie biegał. Zdaję sobie sprawę, że to niełatwe.

– Spokojnie. Poradzę sobie. Oka z niego nie spuszczę. Mogło być znacznie gorzej. Maxi, dziękuję ci z całego serca.

– Ja nic nie zrobiłam – tłumaczyła się Maxi.

– Byłaś tu... jako lekarz. W wiejskim środowisku to bardzo ważne.

A jaka odpowiedzialność. Nagle poczuła się piekielnie zmęczona, ale postanowiła podeprzeć się profesjonalizmem.

– Karryn, ta kostka może jutro boleć i Nate będzie na nią narzekał.

– Mam paracetamol dla dzieci. Mogę mu go podać?

– Oczywiście, ale gdyby coś cię zaniepokoiło, nie wahaj się zadzwonić do przychodni.

Karryn uśmiechnęła się.

– Teraz umyję tego drania i wrzucę go do łóżka. Przy okazji powinnam chyba się pomodlić.

Oddawszy malca w ręce matki, Maxi także podziękowała Bogu za pomoc w jego odnalezieniu.

– Jacob, jak te kobiety tu wytrzymują? – Wracali z Westwood do domu. Było już bardzo późno.

– Po prostu muszą. – Konał ze zmęczenia. Dlaczego ona akurat teraz wyciąga ten temat, kiedy oboje są emocjonalnie i fizycznie wykończeni. – Tangaratta jest w tej chwili w najgłębszym kryzysie z powodu suszy i jej skutków.

– Ten kryzys musi zbierać potworne żniwo... – Odwróciła głowę, bo głos jej się łamał.

Jake potarł twarz dłonią.

– W większości sami wybrali taki los, ale to jest kraina dla zaprawionych w boju.

Czy ona do nich się zalicza? Zamrugła gwałtownie, by powstrzymać łzy.

Przez resztę drogi milczeli.

RS

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Coś wisiało w powietrzu. Jake spojrzał tęsknie na Maxi, która udawała, że jest pochłonięta jedzeniem.

– Może zrób sobie wolne przedpołudnie. Zastąpię cię w przychodni.

Już chciała zaprotestować, ale się opanowała.

– Dzięki, chętnie. Podrapał się w brodę.

– Masz jakieś plany?

– Jakie plany?

– Co zrobisz z tym wolnym czasem?

Czuła, jak puls jej przyspiesza. Powiedzieć mu teraz? Nie zmrużyła oka przez pół nocy, ale nareszcie wie, co robić.

– Mam... kilka pomysłów.

Uniósł brwi.

– Chcesz land-rovera?

– Nie. – Pokręciła głową. – Nigdzie nie pojedę. Zajmę się... czym innym.

Cholera. Wyglądała na znękaną.

– Maxi, chcesz ze mną o czymś porozmawiać? – Wpatrując się w jej twarz, widział, jak zмага się z myślami.

Spuściła wzrok. On ją zna na wylot.

– Chyba tak. – Wzięła głęboki wdech. – Zamierzam wrócić do domu.

– Do domu? Do Anglii?

Wahała się, jakby szukała właściwych słów.

– Chciałabym, żebyś... Pojedziesz ze mną?

– Maxi, oczekujesz, że rzucę pacjentów i wyjadę z tobą na urlop? – Był wyraźnie wstrząśnięty.

– Uważasz, że proszę o zbyt wiele?

– Nie mogę tak, ot, wyjechać. Ja tu mam obowiązki. – Zmrużył oczy. – Od jak dawna planujesz tę ucieczkę?

– Prawdę mówiąc, wcale tego nie planowałam. – Przygryzła wargę. – Po prostu muszę coś zrobić. Odzyskać równowagę.

– Rozumiem. – Chciał zapytać, czy wróci, ale słowa uwięzły mu w gardle.

Nieprzyjemną ciszę przerwała Maxi.

– Nie możesz załatwić zastępstwa?

Prychnął ponurym śmiechem.

– Lekarze unikają pracy w buszu jak ognia. Bo to koszmarna harówka. Jesteś tego najlepszym dowodem. Zwłaszcza teraz, w czasie suszy. Jak myślisz, jaki lekarz zgodziłby się tu przyjechać?

Milczała.

– Tak niekompetentny, że nie chciano go nigdzie indziej. Albo pijak.

– Przesadzasz.

– Tak, tak. Już się tak trafiało. Maxi, nie mogę z tobą jechać. – Zawahał się. – Wykluczone.

Więc co będzie z nami? Drżącą ręką sięgnęła po kubek. Nagle dotarła do niej brutalna prawda. Nie zależy mu na niej, bo w przeciwnym razie poruszyłby niebo i ziemię, żeby z nią pojechać.

Sprawdziły się jego najgorsze przeczucia. Maxi chce wyjechać. Czyli to, co do niego czuje, to za mało, by ją zatrzymać w Tangaratcie.

– Kiedy wylatujesz?

– Jeszcze nie wiem. Po śniadaniu sprawdzę w internecie, kiedy są loty.

Emocje ścisnęły go za gardło, ale postanowił być twardy. Więcej nie będzie prosił. Pochylił się, by wyjąć z kieszeni portfel, po czym położył przed nią kartę kredytową.

– Zarezerwuj sobie klasę biznesową. To długi lot, będzie ci o wiele wygodniej.

– Jacob, nie chcę twoich pieniędzy – broniła się. –Niewiele miałam tu wydatków. Wystarczy mi na klasę ekonomiczną. – Ledwo, ledwo, dodała w duchu.

– Maxi, skorzystaj z tej karty. – Wstał od stołu. – Żeby lepiej się poczuć, potraktuj to jako premię za ciężką pracę.

Zarezerwowała bilet, po czym wyłączyła laptopa. Za tydzień będzie w domu. Ale jeszcze ma kilka spraw do załatwienia, a potem musi zająć do przychodni.

I stanąć oko w oko z Jakiem.

W recepcji Ayleen powitała ją szerokim uśmiechem.

– Lepiej się czujesz? – zapytała, a widząc jej zdziwienie, wyjaśniła: – Jake powiedział, że musisz się wyspać.

– Ach, tak. Zdecydowanie lepiej. Jak wygląda popołudniowa lista pacjentów?

– Bardzo długa. Dzięki Bogu mamy teraz dwoje lekarzy. Zjesz lunch? Zrobiłam kanapki, ale Jake nic nie zjadł.

Zrobiło się jej przykro. Jake cierpi i ona to rozumie. Prosiła go, by z nią pojechał, ale zdecydowanie odmówił. Co jeszcze miałyby zrobić?

– Dziękuję, Ayleen, niedawno jadłam. Jake... u siebie?

– Uhm. – Recepcjonistka podniosła na nią wzrok. –Jest w podłym nastroju.

Z bijącym sercem stanęła pod jego drzwiami. Zapukała, po czym weszła do środka. Stał przy oknie.

– Gotowa do drogi? – rzucił przez ramię.

Nie miała siły odpowiedzieć, więc bez słowa położyła na biurku jego kartę kredytową.

– Dziękuję. Zwrócę ci te pieniądze. – Co do centa, obiecała sobie.

Odwrócił się ku niej, splótłszy ramiona na piersi.

– Kiedy wylatujesz?

– Na początku przyszłego tygodnia. Zostawię wszystko uporządkowane.

– Tak, postaraj się.

Serce jej pękało. Gdyby zmienił zdanie i postanowił lecieć z nią, powiedziała by jej to, gdy tylko weszła. Ale on zachowywał powściągliwość.

– Jacob, zrozum, muszę zobaczyć się z rodziną.

Ta informacja nie zmieniła obojętnego wyrazu jego twarzy.

– To znaczy, że w poniedziałek powinnaś znaleźć się w Sydney, żeby odpocząć przed podróżą.

– Tak, wiem. Pojadę autem.

– Nie musisz. Skontaktuję się z Johnem McIlwraithem, jednym z zamożniejszych hodowców bydła. Ma prywatny samolot. On i jego żona bardzo się ucieszą, że będą mieli pretekst przelecieć się do Sydney. Chętnie cię wezmą.

Było jej przykro, bo Jake zachowywał się tak, jakby jak najszybciej chciał się jej pozbyć.

– Przeniosłam się do hotelu. Do wyjazdu będę tam mieszkać.

– Dlaczego?

Przygryzła wargi.

– Czuję, że tak będzie nam łatwiej. – Chyba już nic więcej nie mają sobie do powiedzenia. – Ludzie i tak będą snuli domysły.

– Myślisz, że się tym przejmuję?

Ciekawe, czy on przejmuje się czymkolwiek. Na pewno nie nią.

Przestał cokolwiek rozumieć. Ostatnimi czasy nabierał coraz silniejszego przekonania, że są sobie przeznaczeni...

Widząc jego zaciętą minę, westchnęła.

– Pójdę już do siebie. Ayleen mówi, że mamy dzisiaj sporo pacjentów.

– Nie podejrzewałem, że tak łatwo rezygnujesz.

– Jacob, jesteś niesprawiedliwy. Dałam tym ludziom wszystko, co miałam najlepszego. Tobie również. Było nam cudownie...

Było. Już mówi o tym w czasie przeszłym. Poczował ucisk w żołądku. Przez dwa lata usychał z miłości do niej. Na chwilę ponownie roznieciła ten płomień, ale teraz ostatecznie go zdmuchnęła. I zdeptała.

Hasłem, jak mogłeś być taki naiwny?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Miesiąc później pod wieczór Maxi była sama w domu. Kończyła właśnie dekorować ciasto czekoladowe, które upiekła, by podać rodzinie, gdy ta wróci z imprezy dobroczynnej w pobliskiej wsi.

Poza tym, zajęta pieczeniem, mogła nie myśleć o Jake'u. Od wyjazdu z Australii rozmawiała z nim tylko raz, gdy zadzwonił upewnić się, czy szczęśliwie dotarła do domu.

Od tamtej pory mimo serdeczności rodziny czuła się bardziej osamotniona, niż sobie wyobrażała.

Ale postanowiła zebrać się na odwagę, może nawet tego wieczoru, i do niego zadzwonić, mimo że nie wiedziała, czy zrobi to na nim jakiegokolwiek wrażenie.

Myślami była bardzo daleko, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Otworzywszy je, zdębiała.

– Witaj, Maxi – powiedział nieoczekiwany gość.

– Jacob? – Głos jej drżał. – Czy ja śnię? – wykrztusiła.

– To ja. Możesz mnie dotknąć. – Wyciągnął do niej ramiona, a ona rzuciła się w nie bez chwili wahania. – Niech na ciebie popatrzę. – Przysunął twarz bliżej jej twarzy, zajrzał jej w oczy, po czym ją pocałował.

– Tak, to naprawdę ty – szepnęła chwilę później. – Co ty tu robisz?

– Opowiem ci, jak wejdziemy do środka – odparł ze śmiechem.

– O, przepraszam... Byłam w kuchni. – Prowadziła go za rękę. – Jesteś głodny? Coś ci zrobię.

– Nie dzięki. Ale z przyjemnością napiłbym się kawy. – Szczelniej otulił się płaszczem. – Muszę trochę odtajać.

– Biedaku – roześmiała się. – Jak na tę porę roku jest całkiem ciepło.

– Może dla ciebie. Ale u mnie jeszcze wczoraj było czterdzieści stopni.

Mrugając nerwowo powiekami, podała mu duży kubek z kawą. Boże, jak bardzo za nim tęskniła...

– Maxi, nie płacz. – Odstawił kubek, by ją objąć. – Nie po to tu przyjechałem, żebyś płakała.

– To są łzy szczęścia. – Splotła ręce na jego szyi. – Co z przychodnią? Znalazłeś zastępstwo?

– To długa historia. Masz czas jej wysłuchać? Przeszli do salonu i usiedli na kanapie.

– W zeszłym tygodniu Tom Wilde, mój dawny partner, wrócił do Tangaratty.

– I cię zastąpi?

– W pewnym sensie. – Zawahał się. – Tom chce na stałe wrócić do przychodni i ma partnera.

Maxi szeroko otworzyła oczy.

– Tobie to odpowiada? Chcesz sprzedać przychodnię?

Wzruszył ramionami.

– Maxi, to zależy od ciebie. Mogę pracować tutaj, jeśli miałyby to znaczyć, że wrócisz do mojego życia.

Zaschło jej w ustach. Czy dobrze go zrozumiała?

– Zrobiłbyś to dla mnie? Zostawiłbyś swój kraj i osiedlił się tutaj?

– Maxi, nie potrafię żyć bez ciebie.

– O, Jacob... – szepnęła wzruszona. – Nie musisz rezygnować z pracy w buszu, bo ja też mam pewne plany.

– Jak to?

– Jake, nie patrz tak na mnie. Poczekaj, aż ci wyjaśnię.

– Czekam.

– Chcę wrócić do Tangaratty.

– O!

– Jeśli... jeśli mnie zechcesz.

– Jeśli cię zechcę?! – Chwycił ją za rękę i położył je sobie na sercu. – Od miesiąca nie wiem, co ze sobą począć. W końcu postanowiłem, że skoro cię kocham, to muszę tu przyjechać, żeby cię o tym przekonać. Oraz dowiedzieć się, czy ty czujesz do mnie to samo. – Ton jego głosu nagle złagodniał. – Maxi, czy ty mnie kochasz?

– Och, Jacob... Oczywiście, że cię kocham. Wydawało mi się, że nieraz dałam tego dowody.

Przytulił ją.

– Zdaje się, że żadne z nas nie powiedziało tego głośno.

– Uhm. Poważne niedopatrzenie z naszej strony.

Niemal czuł, jak spada mu kamień serca. Będzie dobrze.

– Zatem, doktor Somers, pobieramy się?

– Z całego serca pragnę dzielić z tobą życie. – Poglądziła go po policzku.

– Przydałyby ci się wakacje.

– Obojgu nam przydałaby się podróż poślubna. – Uśmiechnął się. – Nie zwlekajmy. Weźmiemy ślub tutaj czy w domu?

Spoglądała na niego z rozrzewnieniem.

– Nawet mi przez myśl nie przeszło, że kiedykolwiek uznam Tangarattę za swój dom. Niesamowite, prawda?

– Ty jesteś niesamowita – odrzekł ze śmiechem. – Wszyscy pytają, kiedy wrócisz.

– Byli dla mnie tacy dobrzy.

– Dlaczego miałyby być inaczej? Zrealizowałaś pomysły, o których od lat marzyli, co wymagało od ciebie nie lada odwagi. Tego szybko nie zapomną.

Ale co najważniejsze, spadł deszcz. Wszędzie jest zielono, a zamiast cykad w nocy budzi nas rechot żab.

– Muszę tego posłuchać. Kiedy wylatujemy?

– Kiedy zechcesz.

Spuściła głowę.

– Przepraszam za to, jak... wyjechałam, ale musiałam zobaczyć się z rodziną, sprawdzić, co z bratem. Musiałam to zrobić, zanim im obwieszczę, że na stałe wyjeżdżam do Australii.

Jake jęknął.

– Gdybyś mi o tym powiedziała, zrobiłbym wszystko, żeby z tobą polecieć. A tak myślałem, że masz mnie dosyć. Szkoda, że ze mną nie porozmawiałaś.

– Chciałam, ale... zamknąłeś się w sobie.

– Zachowałem się jak obrażony małolat i pozwoliłem ci wyjechać bez słowa.

– Ale teraz tu jesteś.

– Tak, jestem z tobą. – Rozejrzał się. – Gdzie reszta rodziny? Spodziewałem się, że na powitanie wylegną wszyscy w komplecie.

– Na spotkaniu dobroczynnym w kościele. Ale zostaniesz tu, prawda? – Rzuciła mu pytające spojrzenie. – Spędzisz z nami trochę czasu?

– Jeśli nie będę wam przeszkadzał...

Nie uznała za stosowne tego skomentować, więc mówił dalej:

– Byłem w Sydney dzień przed wylotem. I poszedłem na zakupy. To dla ciebie, skarbie. – Położył jej na dłoni niewielkie pudełeczko.

Otwierała je z bijącym sercem.

– Och, Jacob... – westchnęła, otworzywszy je.

– To są diamenty z Australii Zachodniej – wyjaśnił z dumą. – Żeby ci zawsze przypominały, gdzie nasza miłość na nowo rozkwitła. – Wsunął jej pierścionek na palec. – Teraz pytam cię oficjalnie: Maxi, czy zostaniesz moją żoną?

– Och, Jacob... – wykrztusiła, hamując łzy radości. – Oczywiście, że zostanę twoją żoną.

– Jak długo możesz zostać? – zapytała jakiś czas później.

Delikatnie ją pocałował.

– Tom powiedział, że będzie trwał na posterunku tyle, ile będzie konieczne. Wracając do ślubu... wszystko mi jedno, gdzie go weźmiemy, byle jak najprędzej.

– Myślę, że fajnie byłoby wziąć ślub w buszu – powiedziała, wpatrzona w pierścionek.

– Ciągłe mnie zaskakujesz. Na pewno? Wobec tego ściągniemy do Australii całą twoją rodzinę, a po weselu wyślemy ich na kilka dni do Sydney. Moja mama z radością się nimi zaopiekuje. Coś mi się wydaje, że Bron i Dave chcieliby, żeby wesele odbyło się u nich. – Musnął wargami jej policzek. – Pod warunkiem, że panna młoda się zgadza.

– Doskonale! – zawołała. – Nie wydaje ci się, że to nie sam dom jest najważniejszy, ale ludzie? W naszym przypadku są to mieszkańcy Tangaratty.

– Nie spuszczała z niego wzroku. – To będzie piękny ślub. – Westchnęła. – Jestem urzeczona tym pierścionkiem.

– Pomyślałem, że ci się spodoba. Poza tym musiał być z diamentami.

– Dlaczego?

– Bo diamenty są na zawsze.

– Och, Jacob...

Odnaleźli to, co myślała, że już przepadło. I co więcej, wkrótce połączy ich węzeł małżeński.

– Jacob... jest jeszcze pewien drobiazg...

– Jaki, Maxi?

– Pocałujesz mnie?

– Z największą przyjemnością.

RS